



Sara Orwig

Żar i popiół

Tytuł oryginalu *Cowboys Special Woman*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pożar był jedną z tych niewielu rzeczy, które naprawdę potrafiły nim wstrząsnąć.

Jake Reiner mocno zacisnął dłonie na kierownicy harleya i spojrzał przez ramię na płomienie błyskające spoza drzew.

Zmroził go widok ognia - mimo sierpniowego upału i zwykłych w Oklahomie podmuchów gorącego wiatru. Wiedział, że pędzi niebezpiecznie szybko pokrytą kurzem drogą, ale musiał przecieżyć ostrzec właścicieli ranca.

Po kilku minutach ryczący harley wyłonił się z zagłębienia drogi. Jake wziął zakręt i ujrzał piętrowy wiktoriański dom. Cieniste drzewa otaczały budynki gospodarskie i korał dla bydła.

Nad wrotami stodoły widniał, wypalony w drewnie, znak korporacji czołowych hodowców - „A” wpisane w okrąg. Wewnątrz ogrodzonego dziedzińca, koło grubego pnia potężnej topoli uwijała się kobieta. W dłoniach trzymała piłę mechaniczną.

Jake zmierzył jednym spojrzeniem jej sylwetkę i poczuł, że jego serce zabiło mocniej.

Skape szorty opinały szczupłe biodra, odsłaniając długie, zgrabne nogi. Dół napiętej na bujnych piersiach koszulki schowany był w spodenkach.

Podjechał bliżej i przeniósł powoli spojrzenie na zaniepokojoną i nieufną twarz kobiety. Dostrzegł też złoście włosy zaplecione w gruby, sięgający pasa warkocz.

Zza stodoły wybiegł z ostrzegawczym ujadaniem czaraobrazowy pies. Kobieta obróciła głowę i coś do niego powiedziała. Zatrzymał się za nią, nie przestając szczeleć.

Jake zwolnił i zahamował, wznosząc tuman pyłu. Wparł stopy w ziemię i w tej samej chwili usłyszał płacz dziecka, dobiegający od strony topoli.

Spojrząwszy na drzewo, dojrzał małą dziewczynkę uwięzioną w rozwidleniu gałęzi. Miała rozciętą głowę, a po jej policzkach spływały łzy.

- Mama!

- Trzymaj się, Katy - powiedziała spokojnie kobieta. Rzuciwszy na Jake'a ostre spojrzenie, warknęła:

- O co chodzi?

- Mogę pomóc? - zapytał, zsiadając z motocykla. Zdał sobie sprawę, że ci ludzie są w poważnych kłopotach - z jednej strony pożar pastwiska, z drugiej sytuacja, którą zastał tutaj. W tej chwili należało zająć się dzieckiem.

- Co pan tu robi? - zapytała kobieta ze złością. Gniewny błysk w jej błękitnych oczach wyraźnie

wskazywał, że Jake nie wzbudził zaufania: obcy facet na motocyklu, w wytartych džinsach, ze zmierzwionymi włosami.

- Tam przy drodze wybuchł pożar.

Spojrzała poza niego i krew odpłynęła z jej twarzy.

- Nie teraz! - wykrztusiła i uniosła wzrok na dziecko. - Najpierw muszę uwolnić Katy.

Odwróciła się, zapominając o intruzie.

Maggie Langford ogarnęła panika. Katy była uwięziona i pokaleczona, a na dodatek wybuchł pożar, który może ich zrujnować.

Modliła się w duchu, by udało jej się uwolnić stopę Katy, zaklinowaną między gałęzią i pniem. Uniosła ciężką piłę i poczuła na nadgarstku dłoń nieznajomego, który chciał odebrać jej narzędzie.

- Podetnę jeszcze trochę i odłamię tę gałąź. Niech pani tam wejdzie i uważa, żeby mała nie spadła - powiedział głębokim głosem.

- Trzymaj się, Katy! Idę po ciebie - uspokajała dziecko Maggie.

- To jest moja mała chłopczyca - zwróciła się do nieznajomego. - Katy, wszystko będzie dobrze. Zaraz cię uwolnimy.

- Musisz uważać na te drzewa. One wyciągają gałęzie, żeby cię schwytać - rzekł nieznajomy do Katy.

Na mokrej od łez, zakrwawionej buzi pojawił się uśmiech.

Maggie zawisała na gałęzi i podciągnęła się do góry. Katy przywarła do niej kurczowo.

Maggie przyglądała się z ciekawością wysokiemu, pięknie opalonemu mężczyźnie. Potargane ciemne włosy wystawały spod czerwonej bandany zawiązanej na głowie.

Nosił czarną koszulkę z oderwanymi rękawami, odsłaniającą mocne mięśnie, napięte teraz od wysiłku.

Przez długą chwilę słychać było jedynie głośny warkot. Intruz skończył, odłożył piłę i spojrzał na nią pytająco.

- Gotowa?

Przytaknęła.

- Trzymaj się mnie, Katy - powiedziała, obejmując mocniej córkę.

Nieznajomy podskoczył, uchwycił gałąź i zawisł na niej, aż z głośnym trzaskiem odłamała się od pnia, uwalniając stopę dziewczynki. Mężczyzna opadł na ziemię zwinnie jak kot i odrzucił gałąź na bok.

Katy zacisnęła ramiona wokół szyi matki, a Maggie przytuliła ją mocno. Poczowała ulgę - jej córka była bezpieczna. Nieznajomy wyciągnął do niej ręce.

- Proszę mi podać małą.

Maggie przekazała mu córkę. Delikatnie posadził dziewczynkę na ziemi. Katy tarła kostkę i pociągała nosem. Maggie zwiesiła nogi, gotowa do skoku. Nie wiedziała nawet, kiedy poczuła silne dłonie, chwytające ją w talii.

W chwili gdy złapała się jego ramion, jakby poraził ją prąd. Nie mogła złapać tchu ani odwrócić od niego wzroku. Wpatrywała się w jego twarz, serce biło jej jak młotem. Poczowała delikatny zapach potu i wody po goleniu. To ją zaskoczyło - wyglądał raczej na prostaka. Widocznie zbyt pośpieszyła się z oceną.

Opuścił ją na ziemię, ale jeszcze przez chwilę pozostawała we władzy jego zniewalającego spojrzenia.

- Mama!

Głos córki przerwał działanie zaklęcia. Maggie cofnęła się, opuściła ręce.

- Dziękuję panu. Muszę zadzwonić po straż.

Uklękła przy córce.

- Pokaż mi nóżkę, Katy.

Wiedziała, że nieznajomy obserwuje ją, gdy ogląda otartą kostkę Katy. Poruszyła ostrożnie stopą córki.

- Boli?

- Nie.

- Katy, powinnaś podziękować.

- Dziękuję panu - grzecznie powiedziała Katy, pociągając nosem. Potarła kostkę i spróbowała się podnieść.

Maggie chwyciła ją w ramiona.

- Nazywam się Jake Reiner. - Miał niski głos. I to spojrzenie, zdolne rzucić na człowieka urok...

Z wysiłkiem odwróciła głowę. Wskazała ręką stołową.

- Tam jest hydrant. Pewnie chce się panu pić. Ja

muszę zająć się gaszeniem pożaru. Dziękuję, że mnie pan zawiadomił. Chodź, Tuffy - zwróciła się do psa, który posłusznie ruszył za swoją panią w stronę domu.

Jake patrzył za nią zafascynowany. Jej biodra kołysały się lekko, a szorty pozwalały mu delektować się widokiem długich nóg.

Stał tak, aż zniknęła za siatkowymi drzwiami.

Gdy obejrzał się na południowy wschód w kierunku drogi, ujrzał nad wierzchołkami drzew pióropusz szarego dymu, kłębiącego się w podmuchach wiatru, niczym ponury zwiastun poważnych tarapatów.

Między garażem a stodołą znalazł hydrant. Przecho-
dząc obok garażu, zajrzał do środka. Stał tam pikap i rozklekotana ciężarówka, kiedyś czarna, sądząc po resztkach farby.

Jake odkręcił kran i zmoczył głowę zimną wodzą. Przeczesując palcami włosy, zerknął w otwarte wrota stodoły: złożone w nieładzie duże skrzynie, siodła, uprząż.

Spojrzał w kierunku motocykla, na którym woził większość swojego dobytku. Wędrowny tryb życia uwalniał go od troski o mnóstwo przedmiotów, wymagających ciągłej uwagi, dbałości napraw. Nachylił się, napił wody i ponownie się ochlapał.

Kiedy się wyprostował, spostrzegł nadjeżdżający w tumanie czerwonego pyłu pikap.

Samochód stanął i wyskoczyła z niego kobieta o ciemnych włosach.

- Zastałam Maggie? - zwróciła się do Jake'a.
Przytaknął.

Pobiegła w stronę domu i bez pukania wyciągnęła rękę w kierunku siatkowych drzwi.

Pojawiła się blondynka, otworzyła zasuwkę, zamkniętą zapewne z powodu jego obecności, i wyszła na zewnątrz. Brunetka tymczasem weszła do środka. Zamykając za sobą drzwi, rzuciła jeszcze szybkie spojrzenie w kierunku nieznanego.

- Muszę jechać do pożaru - rzuciła Maggie, minęła Jake'a i weszła do garażu.

W mrocznym wnętrzu odnalazła łopatę i cisnęła ją na pikapa. Łopata wylądowała na skrzyni z głośnym łoskotem.

Jake stanął w drzwiach garażu.

- Mogę pomóc?

- Trzeba namoczyć te worki - poleciała i pobiegła do stodoły.

Jake zdjął z haka puste worki i zaniósł je do hydrantu. Gdy dobrze nasiąkły wodą, wrzucił je na skrzynię samochodu.

Maggie przyniosła jeszcze kilka łopat.

- Dziękuję panu raz jeszcze.

- Nie ma za co - mruknął, otwierając jej drzwi auta.

- Na imię mam Jake - dodał.

Skinęła szybko głową. Wspięła się do szoferki, kolejny raz prezentując długie nogi.

Pożar pożarem, ale ranczer, który tu mieszkał, musiał

być szczęśliwym facetem: piękna żona, urocza córeczka, pomyślał Jake, zdziwiony własnym sentymentalizmem. Tak bardzo cenił sobie wolność, że zwykle nie postrzegał ludzi ustabilizowanych w małżeństwie jako szczęśliwych.

Zamknął drzwi auta i poszedł w stronę swego motocykla. Odczekał, aż opadnie pył podniesiony przez pikapa i ruszył w ślad za nim.

Widząc idącą w niebo chmurę dymu, myślał ze współczuciem o tej kobiecie. Południowy wiatr niósł ogień w stronę jej domu.

Jake wziął zakręt i wpadł w bury obłok kłębiący się nad drogą. Starał się wstrzymać oddech. Gdy gęsta, szczypiąca w oczy i paląca gardło szarość przesłoniła mu świat, poczuł rosnący strach.

Znał zasadę: nie wolno wjeżdzać w dym! Ale wjechał i teraz musiał przeć do przodu. Czuł żar ognia, słyszał jego trzask. Wreszcie wynurzył się z drugiej strony i znów mógł dobrze widzieć okolicę.

Łapał powietrze, zaszokowany rozmiarami pożaru, który w niekontrolowany sposób rozprzestrzeniał się po horyzont, pochłaniając akry drzew i trawy. Sznur samochodów parkował wzdłuż wiejskiej drogi, pokaźna grupa ludzi ofiarnie walczyła z płomieniami.

W pobliżu gaszących stał samochód z ustawionymi na platformie trzema dużymi, pomarańczowymi zbiornikami z zimną wodą do picia i stosem papierowych kubków. Jake zastanawiał się, skąd tak szybko wzięli

się ci wszyscy ludzie. Widocznie wieść o pożarze rozniosła się błyskawicznie i sąsiedzi pospieszyli z pomocą.

Dwa wozy strażackie przemieszczały się wzdłuż linii ognia, tryskając srebrnymi strugami wody. Jednak silny wiatr z furją rozniecał płomienie i wysiłki strażaków nie przynosiły widocznych efektów. Huk pożaru przeływały głośniejsze trzaski, podobne wystrzałom, a rozgrzane pożarem letnie powietrze falowało i migotało.

W szeregu ludzi łopatom i workami walczących z ogniem, Jake spostrzegł poznaną niedawno blondynkę. Pracowała tak ciężko jak mężczyźni, bijąc płomienie mokrym workiem. Targany przez żal i złe przeczucia, Jake zaparkował na poboczu drogi.

Biegąc w stronę ognia, porwał łopate, leżącą na skrzyni półciązarówki. Wpadł między ochotników i zbliżył się do krawędzi pożaru. Uderzony falą gorąca zaczął dusić jasne płomienie.

Gryzący dym obudził zepchnięte na dno pamięci obrazy z przeszłości. Nienawistne, dręczące wspomnienie tamtego pożaru sprzed lat powodowało, że kopał z furją.

W pomarańczowych błyskach ujrzał siebie - biegnącego chłopca, wpatzonego w lunę na niebie. Przed świtem, biegnąc na skróty, przez posesje sąsiadów zmierzając do domu, spostrzegł na nocnym niebie różową poświatę.

Gdy był bliżej, atak trwogi ścisnął mu serce, zaczął

biec szybciej. Wyskoczył zza rogu i pędził w kierunku domu, który stał w huczącej pożdze, rozświetlającej całą ulicę. Chciał wbiec do środka - w szalejące piekło, pożerające budynek. Zatrzymali go strażacy.

Poprzez własny wrzask usłyszał w końcu, że coś do niego krzyczą. Długo trwało, nim pojął, o co im chodzi: cała jego rodzina zginęła. Mimo upływu czasu Jake znów poczuł dławienie w gardle. Nie znosił tej swojej słabości. Zwykle udawało mu się głęboko skrywać uczucia, ale gorejąca ściana płomieni przywołała tamtą grozę i rozpacz.

Szyderczy taniec języków ognia spowodował, że czas się cofnął i powrócił rozdzierający ból tamtej nocy. Łzy spływały mu po twarzy. Kopał szybko i energicznie, jakby wysiłek fizyczny mógł zagłuszyć straszne wspomnienia i dojmujące poczucie winy.

Ktoś podszedł do niego:

- Spokojnie, synu. Jeśli nie zwolnisz tempa, będzie cię trzeba stąd wynosić. Mam tu wodę do picia.

Naprzeciw Jake'a stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w wytartym kombinezonie. Trzymał pojemnik z wodą i blaszany kubek.

- Ty jesteś Jake Reiner, prawda?

- Tak. Dziękuję.

Jake nalał sobie wody i napił się ze wspólnego kubka.

- Ja jestem Ben Alden. Widziałem cię na koniu.

- Dzięki za wodę - powiedział Jake, zwracając kubek.

Mężczyzna skinął głową i ruszył dalej wzdłuż szeregu. Jake popatrzył za nim i zobaczył, że Ben rozmawia z blondynką. Zamienili kilka słów i kobieta na nowo podjęła walkę z ogniem.

Nie minęło wiele czasu, a jemu zdało się, że gasi ogień od wielu godzin. Ciało spływało potem, dym palił oczy i gardło, od wysiłku bolały wszystkie mięśnie. Rozejrzał się i ponownie spostrzegł blondynkę rozmawiającą z Benem Aldenem. Mężczyzna oparł duże, ogorzałe dłonie na jej barkach.

Ten zaborczy gest okropnie zirytował Jake'a. Zdziwiła go własna reakcja. Przecież nawet nie znał nazwiska tej kobiety i nigdy więcej jej nie spotka.

A jednak miałby ochotę strącić rękę Bena Aldena z jej ramion. Alden prawdopodobnie był jej mężem. Jake przyglądał się wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, dużo starszemu od niego. Ciemne włosy przetykała siwizna. Był grubokościsty, dobrze umięśniony. Pod kombinezonem nosił koszulkę.

Nagle Jake zwrócił uwagę na ich profile: takie same proste nosy i szerokie czoła. Pomyślał, że być może mężczyzna jest jej ojcem.

Jake wziął głęboki oddech i wrócił do kopania, ciskając ziemię w płomienie. Pożar rozszerzał się z każdym podmuchem wiatru. Teraz już trzy wozy strażackie pracowały z drugiej strony linii ognia, ale mimo ofiarowego wysiłku ludzi nie udawało się opanować żywiołu.

Jake już dawno ściągnął koszulkę i ciało miał mokre

od potu. Pomyślał o lodzie i zateśknął za chłodnym prysznicem i zimnym napojem.

Widać już było dom i zabudowania gospodarskie rancza. Jake dławił się, kasłał, czuł, że się smaży. Dłonie miał otarte do żywego mięsa. Potrzebował wody. Podszedł do ciężarówky ze zbiornikami i najpierw wylał całe wiadro na siebie.

Zauważył blondynkę, uparcie, z widocznym trudem wymachującą workiem. Zdawało się, że zaraz padnie ze zmęczenia. Podszedł do niej z pojemnikiem z wodą i papierowym kubkiem. Chwycił ją za ramię.

Obróciła ku niemu ubrudzoną sadzą twarz. Pot przykleił jej koszulkę do ciała. Bez słowa napełnił dla niej kubek. Wziął ją za rękę i poprowadził ku ciężarówce.

Drżącymi dłońmi chwyciła kubek i kilkoma haustami wypila wodę.

- Dzięki - powiedziała, patrząc, jak Jake przechyla pojemnik, by ponownie napełnić kubek.

- Może powinnaś jechać do domu, zabrać stamtąd dziecko i ratować, co się da.

- Zaraz jak wyjechałam do pożaru, moja siostra, Patsy, wzięła Katy i psa do siebie. Spakowała też trochę rzeczy małej. - Maggie spojrzała na ogień. - Tu jestem bardziej potrzebna.

- Nie opanujemy pożaru - powiedział Jake. - Jedź, ratuj meble i ubrania. Zawiozę cię i pomogę. Nikt nie powstrzyma tego piekła, chyba że zaczniesz padać albo zmieni się kierunek wiatru, ale na to się nie zanosi.

Kiedy chwycił ją za ramię, zawahała się.

- No, chodź! - nalegał. Poszła z nim w milczeniu.

- Który wóz jest twój? - zapytał.

Wpatrywała się w niego bezmyślnie, po chwili rozejrzała się i wskazała czarny pikap, zaparkowany w rzędzie innych.

- Kluczyki - rzekł, wyciągając rękę.

- Mogę prowadzić.

- Daj mi kluczyki. Odsapniesz chwilę.

Podala mu kluczyki i wsiedli do samochodu. Znowu musieli przedrzeć się przez ścianę dymu przesłaniającego drogę.

- Nasz dom... - powiedziała miękko, gdy się zbliżali. - Mój dziadek go zbudował.

- Ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś, to twój mąż?

- Nie - pokręciła głową i patrzyła na niego przez chwilę tak, jakby coś sobie z wysiłkiem przypominała.

- To mój ojciec. Rozwiodłam się z mężem.

- Przepraszam.

- Wróciłam do domu w zeszłym roku i po śmierci matki zamieszkałam z ojcem.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- Maggie Langford.

- Poznałem twego ojca. Przyniósł mi wodę. Nazywa się Ben Alden - powiedział, a ona przytaknęła.

Jake podjechał do tylnego wejścia i zatrzymał auto. Gdy wysiadł, ona już biegła do drzwi.

- Czy na czymś ci zależy szczególnie?

- Tak. Mamy trochę starych mebli, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Jeśli zdołamy je uratować...

Gdy weszli do domu, całe jej rozkojarzenie przysło i zaczęła energicznie wydawać polecenia.

Po wywiezieniu drugiego ładunku mebli, ubrań i papierzyśk Jake obejrzał się przez ramię i żołądek mu się ścisnął na widok bliskości ognia. Dom, stodoła i reszta zabudowań zdawały się skazane na zagładę.

Usłyszał warkot silników, odwrócił się i ujrzał trzy nadjeżdżające wozy strażackie. Ojciec Maggie prowadził traktor poboczem drogi.

Strażacy wysypali się z wozów i pobiegli do domu z ogniodpornymi kocami, by przykryć meble. Ben Alden w ciągu kilku minut przeorał szeroki pas ziemi po południowej stronie domu i teraz kontynuował orkę na zachód od stodoły i dookoła innych budynków.

- Odstaw pikapa w bezpieczne miejsce. Ja zostanę i pomogę tutaj - powiedział Jake.

- Chcę zabrać kilka siodła ze stodoły - odpowiedziała Maggie. - Dzięki Bogu, nie ma tu koni!

Wbiegła do stodoły, a Jake pospieszył za nią. Gdy znalazła się wewnątrz, zmarszczyła czoło.

- Rzeczy taty... - zawiesiła głos i stanęła jak porażona.

- Co chcesz zabrać ze stodoły? - spytał Jake nagłoco.

Nie mieli chwili do stracenia. Ogień zbliżał się z hu-

kiem i trzaskiem. Wiatr nie osłabł i jego poddmuchy stale roznosiły iskry, wzniecające nowe ogniska.

- Wszystko - odpowiedziała cicho. Wzruszyła lekko ramionami. - Te siodła - pokazała, a Jake podbiegł, by zabrać to, o co prosiła.

Wyniósł trzy siodła i rzucił na skrzynię pikapa. Ogień podchodził już do stodoły.

- Zabierz stąd auto! - krzyknął. - Jeśli tego nie zrobisz, stracisz go razem ze wszystkim!

Wsiadła szybko do auta i odjechała.

Pojawili się nowi ludzie. Jake usłyszał krzyk strażaka wskazującego dach stodoły. Odwrócił się, by zobaczyć pierwszy język ognia. Zaklął i porwał łopatę.

Podjazd wcinął się między dom po wschodniej stronie a inne zabudowania, tworząc barierę dla ognia. Strażacy przemieścili się, by poszerzyć pas wilgotnej przekopanej ziemi między stodołą a domem i uchronić ten ostatni.

Ojciec Maggie wyorywał kolejne bruzdy, a pozostali gasili ogień.

Kiedy Jake spostrzegł znów Maggie między walczącymi z żywiołem, przedarł się do niej.

- Możemy jeszcze wywieźć z domu jeden ładunek twoich rzeczy, jeśli chcesz. Pomogę ci.

Potrząsnęła głową.

- Nie, spróbujemy ocalić dom. Ja bym raczej...

- Maggie, czy zabrałaś kufry ze stodoły?! - krzyknął jej ojciec, przejeżdżając obok nich.

Jake spojrział na stodołę, teraz już całą w ogniu.

- Nie, wzięłam siodła.

- Wyniosę je. - Ojciec pobiegł w kierunku płonącego budynku.

- Tato! - Maggie ruszyła za nim, lecz Jake złapał ją za ramię.

- Ja pójdę - powiedział i pognał za jej ojcem, znikającym już we wnętrzu stodoły.

Zerwał z szyi chustkę i obwiązał ją wokół nosa. Wbiegając do środka, osłonił twarz ramieniem. Próbował wstrzymać oddech, by nie wciągać w płuca gęstego dymu. Dookoła huczał ogień. Jake nic nie widział poprzez bure kłęby.

Naraz wyłoniła się przed nim ludzka postać.

- Weź to! - ojciec Maggie popchnął ku niemu niewielką skrzynkę.

- Ten budynek zaraz runie! - odkrzyknął Jake.

- Zabieraj się!

Jake wybiegł, odstawił na bok skrzynkę i ruszył z powrotem do płonącej stodoły. Widział w głębi ciemną sylwetkę, ale zanim osiągnął otwarte wrota, usłyszał trzask, jak wystrzał z karabinu. Spadła duża belka.

Wprost na Bena Aldena, powalając go zaledwie dwa metry od wyjścia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maggie z krzykiem rzuciła się w stronę stodoły.

- Wyciągnę go. Nie wchodź tam.

Jake nisko pochylony ruszył po Bena. Dojrzał go w końcu przez kłęby dymu: belka przywaliła mu nogi. Odrzucił ją jednym gwałtownym ruchem, chwycił ojca Maggie pod pachy i zaczął ciągnąć, modląc się, by w tym piekle nie pomylić kierunków i dotrzeć do wyjścia.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, położył Bena ostrożnie na ziemi, sam zatoczył się wyczerpany. Zerwał bandanę z twarzy, Maggie już klęczała przy ojcu.

- Ten człowiek potrzebuje pomocy! - zawołał do strażaków.

- Tato! Wezwałam już karetkę.

- Nic się panu nie stało? - Do Jake'a podszedł jeden ze strażaków.

- W porządku. - Wbrew swoim słowom Jake rozkasłał się. Ciągłe jeszcze dusił go dym.

Maggie podała mu wiadro zimnej wody. Wylał je na siebie i od razu poczuł ulgę.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- W porządku - powtórzył, ale Maggie już się odwróciła i znowu przykleknęła przy ojcu.

Z hukiem i trzaskiem zapadł się dach stodoły. Wysooko w niebo strzeliły płomienie i fajerwerk iskier. Strażacy robili wszystko, żeby uratować dom. Jake podszedł do ciężarówki, napełnił kubek wodą i wypił go jednym haustem. Bolało go całe ciało. Otarte do żywego i poparzone dłonie piekły potwornie. Uniósł głowę i uświadomił sobie, że kierunek wiatru zmienił się nieznacznie.

Kiedy podszedł do strażaków, usłyszał, że mówią o tym samym. Istniała jakaś szansa. Ogień nie przekroczył na razie zaoranego pasa ziemi. Pojawiła się karetka. Pielęgniarki kładli już Bena na nosze. Jake miał nadzieję, że ojciec Maggie nie odniósł poważnych obrażeń i szybko wydobrzeje.

Zmiana kierunku wiatru dodała mu sił. Przez następną godzinę pomagał strażakom i w końcu udało im się opanować płomienie. Po stodole pozostało dymiące pogorzeliisko. Spłonęła doszczętnie, spłonął garaż, reszta zabudowań gospodarskich. Pożar strawił wszystko z wyjątkiem domu.

- Powinien obejrzeć cię lekarz. - Kilka kroków od niego stanęła Maggie. Zdążyła się już umyć i przebrać. I wyglądała ślicznie.

- Nie sędzę. Jadę do szpitala, muszę się dowiedzieć co z tatą. Jedź ze mną, w ambulatorium opatrzą poparzenia.

Miał ochotę wsiąść na motor i szybko odjechać. Jednak coś go powstrzymywało: miękki głos Maggie, jej błękitne oczy, jej autentyczna troska.

- Dobrze. - Czuł, że popełnia błąd, ale nie miał ochoty rozstawać się z nią. Chciał odwlec ten moment.
- Muszę ściągnąć motocykl z drogi.

- Podrzucę cię tam.

Maggie zdążyła już sprowadzić na powrót pikapa. Stał na podwórzu, ciągle wyładowany rzeczami ratowanymi z domu.

- Może go najpierw rozładujemy?

Maggie pokręciła głową.

- Muszę jechać do ojca.

Podeszli do wozu. Jake usiadł po stronie pasażera, Maggie za kierownicą. Podjechali do miejsca, gdzie stał motocykl, i wrócili do domu.

Jake odstawił harleya, włożył swoją czarną koszulkę z oderwanymi rękawami i wrócił do auta.

- Może ja poprowadzę?

- Nie. - Maggie z jakiegoś powodu rozbawiła jego propozycja. - Jestem przyzwyczajona wszystko robić sama. Poza tym twoje dłonie wyglądają okropnie. Nie utrzymałbyś nimi kierownicy.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

- Na szczęście udało się uratować dom - odezwał się w końcu Jake.

- Dziękować Bogu. Zamierzam urządzić w domu tani pensjonat, bed-and-breakfast. Kilka pokoi do wy-

najęcia. Włożyłam w to wiele pracy. Bałam się, że cały mój wysiłek pójdzie z dymem.

- Bed-and-breakfast na takim odludziu?

Maggie wzruszyła ramionami, a Jake zajął się podziwianiem jej gładkiej skóry.

- No wiesz, agroturystyka. Dla mieszcuchów rancho może być atrakcją. Tata będzie zajmował się gospodarstwem, ja pensjonatem. Chcę spróbować. Dom jest duży. Powinno się udać.

- Mieszkaś tu od urodzenia?

- Wyprowadziłam się na dwa lata, kiedy wyszłam za mąż. W czasie studiów dojeżdżałam na zajęcia. A ty, gdzie mieszkasz?

- To tu, to tam.

Spojrzenie Maggie zdawało się mówić, że nie pochwala takiego stylu życia.

- Tata mówił, że widział cię kiedyś. Bierzesz udział w rodeo.

- Owszem. Dosiadam nieujeżdżonych mustangów.

- Tata łapał młode byczki na lasso, ale to było dawno temu. Teraz nie ma już zdrowia. Choruje.

- To niedobrze. Jeszcze ten pożar...

- Dziękuję, że nas ostrzegłeś. Gdybyś tego nie zrobił, byłoby znacznie gorzej.

- Nie wiem. Po prostu wiatr się zmienił, inaczej nikt nie opanowałby płomieni. - Jake nie spuszczał wzroku z Maggie. Obserwował ją i dziwił się. Była piękną kobietą. Przed chwilą napomknęła, że studiowała. Dlaczego-

go zaszyła się na pustkowiu, zdecydowała na takie życie? - Nie przeszkadza ci izolacja?

- Izolacja?

- Mieszkaśz z dala od ludzi.

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy. Jake'owi mocniej zabiło serce.

- Lubię to. Dobrze mi na ranchu. A ty gdzie teraz mieszkaśz?

- Nigdzie. Moim domem jest motor.

Teraz on uśmiechnął się szeroko na widok jej zaskoczenia.

- Lubię podróżować.

- Pracujesz? Przepraszam, może nie powinnam pytać...

- Pytaj. Biorę udział w rodeo, ujeżdżam konie.

Właśnie rzuciłem pracę w stadninie przyjaciela, koło Fort Worth. Miałem już dość. Czuję, że muszę znowu ruszyć w drogę.

- A twoja rodzina? Gdzie mieszkają?

- Nie mam rodziny.

- Każdy ma rodziców.

- Zginęli w pożarze. - Jake spojrział w okno i zacisnął dłoń. Nie rozmawiał nigdy z nikim o rodzicach i nie bardzo rozumiał, dlaczego jej o nich powiedział.

- Dlatego tak zażarcie walczyłeś z płomieniami. Zastanawialiśmy się z ojcem, skąd w tobie tyle zawziętości.

- Czemu się dziwisz? Wszyscy rzucili się gasić.

- Ale ty zachowywałeś się tak, jakbyś chciał ugasić pożar sam jeden. - Maggie spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Twoja córka chodzi do szkoły? - Jake zmienił temat. Nie chciał rozmawiać o sobie i o rodzicach.

- Jeszcze nie. W zeszłym tygodniu skończyła pięć lat. Jesienią wróci do przedszkola.

- Gdzie poznałaś swojego męża?

- Bart pochodzi z tych stron. Znaliśmy się od dziecka. Za wcześnie się pobraliśmy. Przynajmniej on tak to odczuwał. Przestraszył się małżeństwa. Jeszcze bardziej zląkł się, kiedy został ojcem. Po prostu uciekł zaraz po urodzeniu się Katy. To on zażądał rozwodu.

- Możesz znowu wyjść za mąż. - Mogłaby, gdyby ruszyła się z rancza, zaczęła spotykać się z ludźmi, pomyślał Jake. - Jesteś jeszcze młoda.

- Mam dwadzieścia dziewięć lat.

- Ja mam trzydzieści pięć.

- Jeśli nawet wyszłabym za mąż, to nieprędko - powiedziała po dłuższej chwili, jakby wcześniej w ogóle nie zastanawiała się nad takim rozwiązaniem.

- Jaka naprawdę jesteś, Maggie Langford? Maggie to zdrobnienie od Margaret?

- Owszem. Jestem taka, jaką mnie widzisz. Kocham życie rodzinne, jestem domatorką.

Tyle zdołał się domyślić, obserwując ją przez kilka ostatnich godzin. Zamilkł. Popatrywał na nią tylko od czasu do czasu, zdziwiony, że dotąd nie pojawił się nikt,

kto by się z nią ożenił. Nie mógł zrozumieć, skąd się u Maggie Langford bierze to jej zadowolenie z życia na pustkowiu.

Kiedy dojeżdżali do Stillwater, zaczął się denerwować. Powinien był ruszyć w drogę, zamiast jechać z Maggie do miasteczka. Nie miał wcale ochoty na wizytę w szpitalu. Wystarczyłby prysznic, dzbanek porządnie schłodzonej wody i od razu poczułby się lepiej.

W kabinie unosił się delikatny zapach perfum kwiatowych. Pasował do Maggie, do jej wiejskiego życia. Co go w niej pociągało? Kiedy pierwszy raz na niego spojrziała, zobaczył w jej błękitnych oczach, że i ona coś do niego poczuła.

Podjechali pod szpital. Maggie ruszyła szukać ojca, Jake poszedł do ambulatorium: mieli spotkać się później u Bena.

- Pan jest tu nowy - powiedziała zażywna pielęgniarka, która zajęła się Jakiem.

- Aha. Jechałem drogą, zobaczyłem pożar i zawiadomiłem Aldenów.

- Zatrzyma się pan u nas?

Zerknął na identyfikator pielęgniarki. Dostrzegł napis: Laurie.

- Nie wiem, Laurie. Jeszcze nie zdecydowałem. A warto się zatrzymać? - Jake nie mógł odmówić sobie małego flirtu.

- Dużo mamy tu ciekawych miejsc, bary, kilka dancingów, moje mieszkanie.

Zaśmiał się i spojrział na jej dłonie. Nie dostrzegł ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego. Mógłby się z nią umówić, gdyby miał ochotę. Pomyślał o Maggie Langford i pomyśl randki z Laurie pierzchł. Poruszył się niespokojnie. Szkoda, że nie ma pod szpitalem swojego motocykla.

- Brzmi interesująco. Nie wiesz, czy ktoś nie jedzie akurat teraz w stronę farmy Aldena? Zostawiłem tam motocykl, a Maggie na pewno nie wyjdzie szybko od ojca. Przywieźli go tutaj z pożaru jakieś dwie godziny temu.

Laurie przemywała rozcięcie na jego skroni. Przerwała na moment i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jeśli zaczekasz, ja mogę cię zawieść. - Najwyraźniej ich intencje się mijały.

- Dziękuję ci, ale spieszę się. - Nie miał ochoty umawiać się z nią. Nie rozumiał dlaczego, bo dawno już nie miał randki i należało mu się trochę przyjemności. Ale nie dzisiaj.

- Nie wiem, kto mógłby teraz jechać w tamtą stronę. Zapytaj o Jeffa Petersena, który mieszka za ranczem Aldenów.

- Dzięki.

Kiedy Laurie skończyła opatrywać jego rany i oparzenia, poszedł prosto do recepcji w holu głównym. Okazało się, że Jeff Petersen wyszedł przed pięcioma minutami. Jake'owi pozostawało zabrać się okazją, poczekać na Maggie albo umówić się z Laurie.

Zapytał, gdzie leży Ben Alden i wjechał windą na trzecie piętro. Zapukał w uchylone drzwi i zajrzał. Ben dał mu znak ręką, żeby wszedł.

- Chciałem ci podziękować. Uratowałeś mi życie. Jake wzruszył ramionami.

- Przykro mi, że wylądowałeś w szpitalu. I że tyle straciliście w pożarze.

Maggie stała po drugiej stronie łóżka i przyglądała mu się uważnie. Jego obecność elektryzowała powietrze. Emanował zmysłowością. Wyraziste rysy, wysoka sylwetka, szerokie ramiona, wąskie biodra, zmierzwiowane czarne włosy. Najbardziej niepokoiły ją przenikliwe brązowe oczy i gorące spojrzenie. I obcesowe, stawiane wprost pytania.

Nie powinna o nim myśleć, zawracać sobie tym mężczyzną głowy. Jake jeszcze dzisiaj zniknie przecież z jej życia. Wsiądzie na swój motocykl i nigdy go już nie zobaczy.

- Odbudujemy, co spłonęło - powiedział Ben. -
Dzięki za pomoc.

- Nie ma za co. Jak się czujesz?

- Nieźle, biorąc pod uwagę, co mi się przydarzyło.

- Ben z uśmiechem uniósł zabandażowane ręce.

- Nieźle. Poparzenia, złamana noga - prychnęła Maggie. - Rzeczywiście go uratowałeś. Diabli wiedzą, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie ty.

- Wylizę się. Czy to pierwszy raz? Maggie mówiła mi, że pracowałeś ostatnio w stadninie.

- Tak. W Teksasie, u Jeba Stuarta. W pierwszy majowy weekend biorę udział w rodeo w Oklahoma City. Podziękowałem Jebowi za pracę i ruszyłem w drogę. Przejeżdżałem koło waszego rancza, zobaczyłem ogień...

- Myślałem, że Jeb Stuart to twój największy rywal w ujeżdżaniu mustangów.

- Owszem, to mój największy rywal i najserdeczniejszy przyjaciel.

- Dokąd dalej?

- Tato, może Jake nie chce mówić. To jego prywatna sprawa. - Maggie zerknęła na Jake'a.

On zaś uśmiechnął się do niej i odpowiedział:

- Żadna tam prywatna. Nie wiem, dokąd pojedę. Jak los zdarzy. Nie mam żadnych planów.

- I bardzo dobrze! Długo będę unieruchomiony. Może zostałeś u nas, popracował na ranczu, dopóki nie stanę na nogi. Potrzebuję kogoś do pomocy.

Maggie osłupiała. Nie rozmawiała z ojcem o najęciu Reintera. W ogóle nie rozmawiali o nikim do pomocy. Zasepiona mina Jake'a zdawała się wskazywać, że ta propozycja go nie zachwycała. Co za ulga! Zdumiona, że ojciec się z nią nie skonsultował, zaczynała podejrzewać, że środki przeciwbólowe zmały mu umysł.

Barak, w którym mieszkali zwykle najemni robotnicy, spalił się, jak cała reszta zabudowań. Jake musiałby mieszkać z nimi, w domu. Dzisiejszą noc spędziliby

sami: Katy była u Patsy, ojciec miał wyjść ze szpitala dopiero następnego dnia.

- Już i tak bardzo nam pomogłeś. Uratowałeś mi życie. Jeszcze przez jakiś czas nie będę mógł zająć się gospodarstwem. Zostań - przekonywał Ben. - Musisz przecież gdzieś spać, jeść, pracować.

- Może Jake ma inne plany, tato.

- Chodzi mi o ciebie, skarbie. - Ben podniósł wzrok na córkę. - Nie dasz sobie rady sama. Jake rzucił właśnie pracę, jest wolny. Potrzebujemy go. - Zwrócił się teraz do Jake'a: - Zwykle najmujemy czterech, pięciu ludzi, ale tak jakoś się złożyło, że teraz nie mamy nikogo. Przyrzekam, że nie będziesz żałował.

Maggie widziała doskonale, że Jake nie ma ochoty zostać. Dlaczego nie powie tego wprost?

- Tato...

Ben podniósł dłoń.

- Niech mówi sam za siebie, Maggie. - Tu znowu zwrócił się do Jake'a: - Jak ci się nie będzie podobało, odejdiesz, a my poszukamy kogoś innego, ale zgódź się, choćby na krótko.

- Dobrze.

Maggie zamknęła oczy i potarła skronie. Co ten ojciec narobił? Całkiem oszalał. Potrzebowali kogoś do pomocy, ale mogli nająć kogoś miejscowego, kto dojeżdżałby na ranczo i wieczorem wracał do domu. Co ona pocznie z Jakiem Reinerem?

- Dziękuję, Jake. - W głosie Bena zabrzmiała ulga.

- Teraz już nie muszę się martwić. Będę mógł spokojnie myśleć o odbudowaniu budynków zniszczonych przez pożar.

- Myśl przede wszystkim o tym, żeby wyzdrowieć

- burknęła Maggie. - Zostanę na noc przy tobie i...

- Wykluczone - przerwał jej ojciec. - Chcę się porządnie wyspać. - Imogena ma nocny dyżur. Będę pod dobrą opieką. Nie musisz się o mnie martwić - zachichotał.

Maggie doskonale wiedziała, że nie jest potrzebna w szpitalu. Imogena Randle od dwóch lat robiła wszystko, żeby wyjść za Bena. Teraz co chwilę do niego zaglądała. Ostatnie dwadzieścia minut, bo tyle już trwała wizyta Maggie u ojca, musiało być dla Imogeny prawdziwą katorgą.

Spojrzała znowu na Jake'a. Dziwną miał minę. Niepokoił ją. Ojciec znał go z rodeo, ale to obcy człowiek. To, że zdobywał nagrody i miał mnóstwo pieniędzy, nie oznaczało jeszcze, że powinna wpuścić go do domu.

Co począć? Ben zrobił swoje i spokojnie zasnął.

- Wygląda na to, że możemy wracać do domu - powiedziała z rezygnacją. - Rzeczywiście, nikt lepiej się nim nie zaopiekuje niż Imogena. Nic tu po nas.

Jake skinął głową, otworzył drzwi i przepuścił Maggie. W milczeniu zjechali na parter, w milczeniu wsiedli do pikapa. Maggie usiłowała przypomnieć sobie nazwiska robotników, których najmowali w ostatnich latach. Każdy, tylko nie Jake, na litość boską! Ktoś się zgodzi,

a Jake robił takie wrażenie, jakby tylko czekał, żeby się uwolnić od danej obietnicy. Dlaczego od razu nie odmówił?

- Wiem, że nie chcesz zostać. Znajdę kogoś na twoje miejsce - powiedziała, kiedy ruszyli z parkingu.

Jake odwrócił głowę, spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Ty też nie chcesz, żebym dla was pracował, prawda?

- Nie znam cię.

- Powiedz słowo, a wyjadę.

- Poczekajmy jeszcze. Muszę mieć kogoś na twoje miejsce. Widzę przecież, że nie masz ochoty zostać - powtórzyła.

- Nie bierz tego do siebie. Zamierzałem odpocząć, powłóczyć się trochę, ale twój ojciec potrzebuje pomocy. Ty musisz zajmować się dzieckiem, masz cały dom na głowie, ze wszystkim nie dasz sobie rady. Rozejrzyj się, zobacz, czy uda ci się nająć kogoś innego. A tymczasem nie martw się. Możesz mi zaufać. Możesz nawet zadzwonić do Jeba Stuarta i poprosić go o referencje. Jak dojedziemy do domu, dam ci jego numer.

- Dzięki. Denerwuję się. W końcu wpuszczam do domu obcego człowieka.

Jake wzruszył ramionami.

- Jest lato. W ogrodzie widziałem hamak. Mogę w nim spać.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Skinęła głową i zamilkła. Chyba nigdy nie spotkał równie zwariowanej kobiety. Nie chciał zostać, to prawda, ale skąd się brały jego opory? Niech Maggie zadzwoni do Jeba Stuarta po powrocie do domu. Może to ją uspokoi.

- Kiedy wraca twoja córka?

- Pojadę po nią rano. Mam dwie zameżne siostry, obydwie mieszkają w pobliskim mieście, a nasze dzieciaki są bardzo zżyte ze sobą.

- Duża rodzina. To miłe. - Jake rozejrzył się. - Będzie jakaś restauracja po drodze? Właśnie sobie uświadomiłem, że od wczoraj nie miałem nic w ustach.

- Niestety, musielibyśmy wrócić do Stillwater. Znajdzie się coś w domu.

- W porządku. Muszę wziąć prysznic.

- Jasne. Głupio mi, że ojciec cię zatrzymał. Właściwie wymusił na tobie zgodę.

- Zapomnij o tym.

Znowu zamilkli. Jake zapatrzył się w mrok. Czuł się pochwycony w potrzask. Ojciec pragnął go zatrzymać, córka chciała, żeby wyjechał. On też zamierzał wyjechać. Niech to szlag! Podjął zobowiązanie, którego nie powinien był podejmować. Utknął w miejscu, w którym nie zamierzał tkwić. Maggie Langford intrygowała go. To dość, żeby czuł niepokój. Kobiety, które spotykał na swojej drodze, były podobne do pielęgniarki ze szpitalnego ambulatorium: otwarte, beztroskie. Mógł z każ-

dą pójść do łóżka, a rano podziękować za miłą noc i odjechać w dal. Tak też robił, dziękował, po czym odjeżdżał.

Ben przynajmniej przez dwa tygodnie będzie miał nogę unieruchomioną w gipsie. Jake nie chciał tak długo siedzieć na ranczu. Maggie też tego nie chciała.

Mógł spać w hamaku, czemu nie, ale wydawało mu się to śmieszne. Gdyby miał złe zamiary, wyrzucenie go do ogrodu niewiele by Maggie pomogło. W domu miał jeść, myć się. Zerknął na nią znowu. Miły widok, chociaż wołał ją w szortach i T-shircie.

Kiedy zatrzymali się przed domem, chwilę jeszcze siedziała za kierownicą i wpatrywała się w zgliszcza. Doskonale rozumiał, co musi teraz czuć.

- Przykro mi - powiedział cicho.

- Pożar tyle nam zabrał... Tak nagle, niespodziewanie. Dużo czasu minie, zanim się odbudujemy. Ojciec pobiegł do stodoły po stary kufer, w którym były rzeczy dziadka.

- Życie jest ważniejsze.

- Wiem, ale chciał ratować pamiątki. Powinna była wynieść skrzynie, zanim pojechaliśmy do pożaru.

- Robiłaś, co w twojej mocy.

- Mam za sobą męczący dzień. Przepraszam, jeśli jestem niegościnna.

Jake wzruszył ramionami.

- Daj spokój. - Wysiadł, chciał otworzyć drzwiczki z jej strony, ale go uprzedziła. Wyjął czyste ubranie z bagażnika harleya i ruszył za Maggie do domu.

- Wielkie nieba! - Zatrzymała się gwałtownie na widok rzeczy ustawionych wokół ganku. - Sąsiedzi musieli wszystko przetransportować na powrót pod dom. Za każdym nawrotem pomagali mi rozładowywać pikapa, tam, po drugiej stronie drogi - wskazała głową kierunek.

- Wnieśmy to wszystko do domu. Pomogę ci.

- Dzięki, ale nie dzisiaj. Padam ze zmęczenia, a deszczu na pewno nie będzie. Słuchałam prognozy. Jutro to wszystko wniesiemy.

Weszli do środka. Maggie zapaliła światło w kuchni, wygodnej, przestronnej, z oszklonymi szafkami i wielkim orzechowym stołem.

- Dasz mi numer Jeba Stuarta?

Jake zamiast odpowiedzieć wpatrywał się w jej pełne usta. Jak by to było, pocałować ją? Zapomnij o tym, człowieku! Ta kobieta jest poza twoim zasięgiem. Co takiego ma w sobie, że patrząc na nią, myślał zaraz o nocach pełnych namiętnych szaleństw. A przecież nie jest wampem, tylko pachnącą szarlotkami mamuszką. Myślał... W ogóle nie powinien o niej myśleć. A jednak kiedy była w pobliżu, coś dziwnego się z nim działo: serce zaczynało walić, czuł przyspieszony puls. Dym musiał rzucić mu się na mózg. Zaczadział. To już lepsze, niż przyznać, że każde spojrzenie wielkich niebieskich oczu wytrąca go z równowagi.

Żadna kobieta dotąd nie wywoływała w nim tak in-

tensywnych reakcji. Ta też nie powinna. Nie życzył sobie tego.

- Chodź, pokażę ci, gdzie jest łazienka i czyste ręczniki.

Jak zaczarowany szedł za nią przez przestronną sień. Po obu stronach wysokie pokoje z belkowanymi sufitami, boazerie, mahoniowe meble, obrazy na ścianach, cenne drobiazgi, wrażenie zamożności i wygody.

- Masz ładny dom. Twój dziadek go zbudował?

- Tak. Kiedy ożenił się, powiększył go. Ojciec dobudował duży salon, łazienkę i dodatkową sypialnię. Kocham ten dom. Wiele w nim zmieniałam, żeby móc otworzyć pensjonat.

- Wpuścisz tu obcych ludzi.

- To co innego - powiedziała i zaczerwieniła się.

- Jak to: co innego?

- Tata będzie w domu.

- Niekoniecznie każdej nocy. Nie to miałaś na myśli. - Położył jej dłoń na ramieniu, zmuszając do zatrzymania się. Stał po niebezpiecznym gruncie, ale nie mógł się powstrzymać: dotyka jej, stawia natarczywe pytania.

Spojrzała na niego wielkimi błękitnymi oczami.

- Działasz tak pewnie na każdą kobietę - powiedziała tak cicho, że musiał się nachylić, żeby ją usłyszeć.

- Jak działałam?

Odrzuciła głowę.

- Doskonale wiesz jak... - Odwróciła się i wskazała urządzoną na niebiesko sypialnię.

- Tu możesz się przebrać. Z pokoju jest wejście do łazienki. W szafce znajdziesz czyste ręczniki i przybory toaletowe. Zostawiam cię. Będę w kuchni.

Był brudny, spocony, poparzony. Gdyby nie to, nie dałby się jej tak łatwo wymigać od dalszej rozmowy. Pomęczy ją później, najpierw weźmie prysznic.

Zatrzymała się jeszcze w progu i obejrzała.

- Co powiesz na kurczaka na zimno, sałatkę i pieczone ziemniaki?

- Powiem, że zjem pyszną kolację. Za kilka minut będę gotów.

Maggie skinęła głową i zniknęła. Ciekawe, czy zadzwoni do Jeba Stuarta, zastanawiał się Jake, wchodząc pod prysznic.

Zadzwoniła.

Słuchała Jeba, gryzmołąc coś w notatniku. W pewnym momencie jej dłoń znieruchomiała, a opinia na temat Jake'a uległa radykalnej zmianie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Głęboki głos po drugiej stronie zapewniał ją, że Jake jest człowiekiem odpowiedzialnym i godnym zaufania. Jeb opowiedział ze szczegółami, jak przyjaciel uratował mu życie w czasie akcji specjalnej w Kolumbii; obydwa służyli wtedy w słynnej dywizji powietrznej 101, Airborne.

Maggie zamknęła oczy. Znowu widziała Jake'a wbiegającego do stodoły i po chwili wynurzającego się z kłębow dymu z jej ojcem na ramionach. Był wspaniałym człowiekiem, a ona go obraziła. Zachowała się absurdalnie.

- Dziękuję - powiedziała cicho, kończąc rozmowę, ale niepokój pozostał.

Odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się w okno. Nie chciała Jake'a w swoim domu. Za każdym razem, kiedy się do niej zbliżał, czuła się tak, jakby poraził ją prąd. A to niepokoiło. Bliskość Barta nie wywoływała w niej takich sensacji, a przecież kochała go, wyszła za niego.

Cóż, znajdzie kogoś innego do pomocy i Jake wyjedzie.

Wyjęła z lodówki kurczaka, nakryła do stołu, wsta-

wiła ziemniaki do mikrofalówki, pokroiła pomidory na sałatkę.

- Co za obrazek. - Do kuchni wszedł Jake w białym T-shircie, czystych dżinsach i kowbojskich butach. Wilgotne jeszcze włosy zaczesał gładko do tyłu. Na jego widok, powinna już się do tego przyzwyczaić, poczuła przyspieszone bicie serca.

- Co za obrazek?

- Piękna kobieta, zastawiony stół, staroświecka kuchnia.

- Nie przypuszczałam, że takie rzeczy robią na tobie wrażenie. Nie wyglądasz na kogoś, kto by szczególnie sobie cenił domowe ciepło.

Jake wzruszył ramionami, na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiešek.

-v Doceniam piękne kobiety, dobre jedzenie... Co do kuchni... tu akurat nie mam zdania. Od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem. To, co przygotowałaś, to prawdziwa uczta.

- Podam tylko coś do picia i możemy siadać. Zanim zdążyła wyjąć szklanki z szafki, Jake ją ubiegł. Lekko przy tym musnął jej dłoń, dotknął przełotnie ramienia.

- W lodówce na dole powinieneś znaleźć piwo. Tata czasami kupuje sobie puszkę.

- Dziękuję, ale nie piję piwa. Zaskoczyłem cię, co? Zacerwieniła się. Już po raz drugi. Nie powinna sądzić go po pozorach.

- Zaskakujesz mnie przez cały dzień.
- To dobrze. Życie pełne niespodzianek jest znacznie ciekawsze.
- To zależy jakich. Pożar był niespodzianką jak cholera.

- Pożar był nieszczęściem. Ja mówię o czymś innym, Maggie.

- Napiję się mrożonej wody - powiedziała, usiłując zmienić temat. W oczach Jake'a błysnęło rozbawienie. Tyle zdążyła dostrzec, zanim się odwrócił, żeby otworzyć lodówkę. Pomyślała smętnie, że ten człowiek na zawsze pozostawi już ślad swojej obecności w jej domu. Emanowało z niego coś, czego nie potrafiła do końca określić. Najlepsze słowa, jakie znajdowała, to „dzika zuchwałość”. A przecież zachowywał się poprawnie, nie zrobił nic, co potwierdzałoby jej odczucia. Była jednak pewna, że potrafi być nieobliczalny. Spojrzała na harleya stojącego pod oknem.

Jake postawił na stole szklanki z wodą, odsunął krzesło dla Maggie i usiadł naprzeciwko.

Podsunała mu półmisek z kurczakiem, kiedy odezwał się telefon. Dała znak, żeby sobie nakładał i poszła odebrać.

Dzwonił agent ubezpieczeniowy, który miał wycenić straty. Umówiła się z nim na następny dzień, pierwszą środę sierpnia. Ledwie usiadła, telefon zadzwonił ponownie.

Zaczęła rozmawiać z sąsiadką, gdy pod dom podje-

chał samochód i ktoś zapukał do drzwi kuchennych. Jakby się wszyscy zmówili! Jake otworzył. W progu stała przyjaciółka Maggie, Melody Caldwell, z zapiekaną w żaroodpornym naczyniu.

Od razu zaczęła flirtować z Jakiem. Mieszkała w mieście, była rozwódką. Maggie знаła ją od dziecka. Wiedziała, że Melody, zafascynowana Jakiem, posiedzi tu kilka godzin.

Pożegnała się z sąsiadką i odłożyła słuchawkę.

- Cześć, Melody. Dzięki za zapiekankę. Widzę, że już się poznaliście.

Otworzył się prawdziwy worek z krewnymi i znajomymi, bo podjechał kolejny samochód i w kuchni pojawili się Ollie i Pru Morganowie, małżeństwo mieszkające za miedzą, dwoje niemal identycznie ubranych rudzielców, którzy wyglądali bardziej jak brat i siostra niż mąż i żona. Naturalnie też przywieźli coś do jedzenia.

Nie minęła godzina, a pojawiło się dwoje kolejnych sąsiadów.

Po kolacji cała paczka pomogła Maggie wnieść do środka rzeczy czekające przed domem.

Ostatni goście" odjechali w pół do jedenastej. Jake i Maggie pożegnali ich na ganku.

- Masz sporo przyjaciół - zauważył.

- Mieszkam tu od urodzenia. Moi rodzice przemieszkali tu całe życie. Dziadkowie też.

- Posiedźmy tu chwilę. - Jake usadowił się na drewnianych stopniach. - Taki przyjemny wieczór...

- Brakuje mi Katy.

- Rozmawiałaś z nią przecież przez telefon.

- Owszem, ale i tak mi jej brakuje. Z drugiej strony wiem, że powinna częściej spotykać się z kuzynkami. Patsy ma dwie córki, siedmiólatkę Ellę i pięcioletnią Tinę.

Wieczór był rzeczywiście przyjemny. Spokojny, chłodny, wokół cisza, tylko gdzieś z oddali dochodziło kumkanie żab i cykanie świerszczy.

- Przywieźli tyle jedzenia, że starczy ci prowiantu do końca tygodnia - odezwał się Jake.

- Są tacy mili.

- Bardzo. Jaką robotę masz dla mnie na jutro?

- Zajmiesz się tym, czym zwykle zajmuje się tata.

Musisz nakarmić bydło i konie. Jest susza i zwierzęta nie mają trawy na pastwiskach. Trzeba dopilnować, żeby miały świeżą wodę. Mamy ogiera, to Czerwony Czart, ale tata nazywa go po prostu Czart. To dziki koń, więc uważaj na niego. Ojciec chce go sprzedać, dawał już ogłoszenia, ale na razie nikt się nie zgłosił. - Maggie uniosła głowę. - Czuję zapach spalonej ziemi.

- Szybko zniknie. W prognozach meteo zapowiadały, że najdalej za tydzień powinny spaść deszcze. I znowu wszystko się wokół zazieleni.

- Dzięki Bogu ogień nie zniszczył domu ani ogrodu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, ciesząc się spokojnym wieczorem.

- Chcesz otworzyć pensjonat i pragniesz, żeby two-

ja córka tutaj się wychowała. Czego jeszcze chcesz od życia? - Jake pierwszy przerwał milczenie.

- Niczego więcej. Żyję sobie szczęśliwie w naszym domu, z ojcem i Katy. A ty, Jake, czego pragniesz?

- Ja? Podróżować. Dotrzeć tam, gdzie jeszcze nie byłem. Zebrać pieniądze i objechać świat.

- Trudno mi sobie wyobrazić takie życie. Nigdy nie wyjechałam poza granice Oklahomy.

- Żartujesz! Któregoś dnia zabiorę cię do Teksasu. Katy zostawisz u siostry.

- Może, kiedyś... Na razie wybieram się do łóżka. Jestem wykończona. - Maggie wstała. - Jeśli chcesz, możesz spać w domu, w niebieskiej sypialni na górze. Przepraszam, że byłam taka niegościnna.

Jake też się podniósł. Pokręcił głową.

- Nie, prześpię się w hamaku, pod gwiazdami. Podobają mi się ten pomysł. Dawno już nie spałem pod gołym niebem. Rano przyjdę do domu, żeby wziąć prysznic.

- Chodź, dam ci poduszkę. Koca nie będziesz potrzebował.

- Dobranoc - powiedział, przeciągając zgłoski, kiedy podawała mu pościel. To zwykle zdawałoby się słowo zabrzmiało - niezamierzenie? - jak pieszczota.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Dobranoc.

Jake zatrzymał się jeszcze w drzwiach, obejrzał przez ramię.

- Możesz zamknąć drzwi na klucz.

Maggie wzruszyła ramionami. Było jej głupio. Skoro tak obcesowo zmanifestowała swój brak zaufania do niego, teraz miała odpowiedź.

- Nigdy nie zamykamy drzwi na noc.

- Drzwi może nie zamykasz, Maggie Langford, ale serce zamknęłaś na cztery spusty.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jake'a już nie było.

- Musiałam je zamknąć, kiedy się pojawiłeś - mruknęła pod nosem, pogasiła światła i poszła na górę do swojej sypialni.

Hamak był zawieszony niemal pod samym jej oknem. Jake już leżał, z rękoma pod głową. Zdjął T-shirt, ściągnął buty, został w samych dżinsach. Ciekawe, czy ją widzi? Spuściła roletę, odeszła od okna i zapaliła lampkę nocną.

Padła ze zmęczenia, ale nie była pewna, czy zaśnie. W najbliższych miesiącach czekała ich, ją i ojca, ogromna praca. Musieli odbudować to, co strawił pożar. Na szczęście byli ubezpieczeni.

Przebrała się w ogromny T-shirt, w którym sypiała, i wsunęła się do łóżka. Zgasiła światło.

Wyrzuciła Jake'a na noc z domu, ale nie potrafiła przestać o nim myśleć.

Spanie w hamaku nie było najlepszym pomysłem. Wszystkie mięśnie go bolały po wielogodzinnym wysiłku, a siatka wrażała się w poparzoną i pokaleczoną skórę.

Próbował nie zwracać uwagi na niewygody i zająć myśli dziwną kobietą, która spała w domu. Zostawiła drzwi otwarte, ale żyła w zamknięciu, w jakiejś ponurej izolacji, w więzieniu. Nie umawiała się z facetami, nigdy w życiu nie przekroczyła granicy stanu.

Przed czym się chowała? A może się nie chowała? Może była wrośnięta w tę ziemię, jak drzewa, pod których koronami teraz leżał. Na pewno była dobrą matką i dobrą córką, ale coś ważnego, bardzo ważnego jej umykało.

Zaśmiał się do siebie. Prawdopodobnie ona myślała to samo o nim. Też zapewne uważała, że coś bardzo ważnego mu umyka, czegoś nie dostaje w jego życiu.

Nie miał domu, korzeni, rodziny. Ona miała przyjaciół gotowych przyjść w każdej chwili z pomocą. Gdyby jego motocykl się spalił, pies z kulawą nogą by się tym nie przejął. Ale taką egzystencję wybrał i lubił ją.

Ciekawe, czy udałoby mu się wyciągnąć Maggie któregoś wieczoru na tańce? Płoszyła się na jego widok niczym sarna. Jak by zareagowała, gdyby ją pocałował?

- Trudno powiedzieć, stary - mruknął i spojrział w okno, w którym ją widział wcześniej.

W końcu usnął, zapatrzony w niebo i nie wiedział nawet, kiedy. Obudził go dzwonek telefonu. Chwilę trwało, zanim uzmysłowił sobie, gdzie jest. Znowu spojrział w górę. W sypialni Maggie nie zapaliło się światło. Nie słyszała telefonu, skoro on go słyszał w ogrodzie?

Już miał zamknąć oczy i zignorować natarczywe dzwonki, kiedy przypomniał sobie o Katy.

Skoczył do drzwi, sądząc, że będą zamknięte. Nie były. Zapalił światło w kuchni i dopadł aparatu.

W słuchawce na moment zaległa cisza.

- Jake, tak? - odezwał się wreszcie kobiecy głos.

- Mówi Patsy, siostra Maggie. Muszę z nią rozmawiać.

- Nie wiem, dlaczego nie odebrała telefonu. Pójdę to sprawdzić.

- Maggie ma twardy sen. Będziesz musiał ją obudzić. Chodzi o tatę. Miał atak serca.

- Cholera! Przepraszam. Już do niej idę.

Atak serca. Jakby Aldenowie mieli nie dość nieszczęść. Znowu zaklął, tym razem cicho. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Drzwi do sypialni zastał zamknięte. Zaczął pukać i wołać.

Nic. Żadnej reakcji. Spała jak kamień.

Nacisnął klamkę i wszedł do pokoju. Maggie odrzuciła we śnie kołdrę. T-shirt uniósł się do góry, odsłaniając uda. Rozplecione jasne włosy rozsypały się na poduszce. Jake'owi zrobiło się nieswojo. Myśli miał raczej jednoznaczne.

Potrząsnął ją za ramię, usiłując zachować przytomność umysłu.

- Maggie, obudź się.

- Mmmm. - Obróciła się i ukryła twarz w poduszce.

Jake zapalił światło, zobaczył aparat na szafce przy łóżku. Znowu nią potrząsnął.

Wreszcie otworzyła oczy, usiadła na łóżku, obciągnęła T-shirt, odrzuciła włosy do tyłu. Bez słowa podał jej słuchawkę. Trudno mówić, wpatrując się w kobietę w negliżu.

Maggie po pierwszych słowach siostry poderwała się na równe nogi.

- Zaraz wyjeżdżam.

- Jak on się czuje? - zapytał Jake, kiedy się rozłączyła.

- Stan jest stabilny.

- Ubieraj się. Zawiozę cię.

- Nie musisz.

- Wiem, że nie muszę, ale cię zawiozę. Odłożę słuchawkę na dole. Daj mi kluczyki, podjadę pod boczną bramę.

- Leżą na toaletce.

Jake wyszedł, zastanawiając się, ile czasu będzie trzeba, żeby widok śpiącej Maggie zatarł mu się w pamięci.

Po pięciu minutach ubrana i uczesana wybiegła z domu.

- To już drugi zawal - powiedziała, sadowiąc się koło Jake'a.

- Kiedy ojciec miał pierwszy?

- Trzy lata temu. Pewnie pożar mu się przysłużył.

Do granic miasta nie zamienili już ani słowa. Jake podjechał pod główne wejście do szpitala.

- Idź do niego, ja zaparkuję i zaraz dołączę do ciebie. Patrzył jeszcze przez chwilę, jak Maggie otwiera szklane drzwi i znika w głębi holu. Kiedy wjechał na piętro, na którym leżał Ben, podszedł najpierw do stanowiska pielęgniarek. Dowiedział się, że zawał, na szczęście, nie był rozległy, stan jest stabilny, ale pan Alden został przeniesiony na OIOM.

Dopiero teraz pomyślał, co to może oznaczać dla niego. Najpewniej będzie musiał zostać na ranchu dłużej, niżby chciał. Na końcu korytarza dojrzał Maggie w towarzystwie dwóch innych kobiet. W jednej z nich rozpoznał Patsy.

- Maggie, będę w poczekalni.

Wszystkie trzy zwróciły na niego spojrzenie.

- Jake, to moje siostry, Patsy Loomis i Olivia Sommersby.

- Cześć. Przykro mi z powodu waszego ojca.

Zamienili kilka słów i Jake przeszedł do pustej poczekalni. Usiadł, wyciągnął nogi i zamknął oczy. Obudziła go Maggie.

- Wybacz. Jest po trzeciej. Możemy wracać do domu. Tata czuje się znacznie lepiej. Szczęście w nieszczęściu, że stało się to w szpitalu, bo interweniowano natychmiast. Lekarz zapewniał, że nic mu nie grozi.

Uspokajał nas.

- To dobrze.

Przed szpitalem Jake ujął Maggie pod ramię i poprowadził ją do samochodu.

- Twoje siostry już wyszły?

- Dość dawno temu.

Droge, jak poprzednio, przebyli w milczeniu. Jake czuł, że Maggie goni resztkami sił i nie ma siły bawić się w rozmowy.

- Napijesz się czegoś? - odezwał się, kiedy weszli do domu.

Skinęła głową.

- Napiję się. Mrożonej herbaty. Już nie usnę, chociaż padam z nóg. - Potarła czoło. - Mam nadzieję, że nic już się nie zdarzy.

Lekarz zapewniał ją, że nie ma powodów do niepokoju. Kiepska pociecha, skoro i tak zawał ojca burzył całe ich dotychczasowe życie.

- Tata nie będzie już mógł pracować tak intensywnie jak do tej pory - podzieliła się z Jakiem swoimi lękami.

- Odwróć się - polecił, przysuwając się do niej ze swoim krzesłem, a kiedy usłuchała, zaczął masować jej plecy. Miły gest i dobry pomysł. Maggie czuła, jak napięte mięśnie stopniowo się rozluźniają. Zamknęła oczy.

- Odpręż się. Jesteś strasznie spięta... Nic dziwnego. Każdy by był spięty na twoim miejscu. Przeżyłaś koszmarne dzień.

- Zdarzają ci się takie stany? - zapytała. Chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, zapomnieć chociaż na chwilę o własnych kłopotach.

- Tak. Kiedy widzę pożar. Kiedy dosiadam nieujędzonego mustanga.

- I już - podsumowała Maggie z nutą rozbawienia w głosie. - Zero zobowiązań, ciężarów, odpowiedzialności za innych.

- I zero cierpień. Popatrz na siebie. Zamartwiasz się teraz na śmierć, bo ojciec, którego kochasz, leży chory w szpitalu, bo pożar strawił ranczo, na którym się urodziłaś.

- Taka jest cena miłości. - Maggie nie spodziewała się podobnej deklaracji z ust Jake'a.

- Za wysoka, kiedy umierają twoi najbliżsi. - Nie chciała pytać, czy to w pożarze stracił całą rodzinę. Słuchała w milczeniu. - Powiedziałem ci dzisiaj o sprawach, o których nie mówię nikomu, nawet starym przyjaciołom. Masz w sobie coś, co sprawia, że inni się przed tobą otwierają. Musisz znać wiele ludzkich sekretów.

- Mogłabym powiedzieć to samo o tobie. Rano jeszcze się nie znaliśmy. A teraz mieszkasz w moim domu. Trzymasz dłonie na moim karku...

Na moment Jake przerwał masaż, dopiero po chwili podjął go znowu. O czym myślał? Intrygował ją coraz bardziej.

- Powiedz mi, Jake, nigdy nie chciałeś mieć rodziny? Kochać i być kochanym?

- Nie chciałem się wiązać. Czułbym się jak w niewoli - rzucił niechętnie. Wyraźnie nie miał ochoty ciągnąć tego tematu. - Poza tym, mało to kochania na świecie? Nie mówię, że tego nie lubię. Nie jestem mnichem - dodał lekkim tonem.

- A więc są w twoim życiu jakieś dziewczyny.

- Nie. W tej chwili nie.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć - odparła i pokręciła z powątpiewaniem głową.

- Tak jak ja nie mogę uwierzyć, że w twoim życiu nie ma żadnego mężczyzny.

- Uwierz. Jedyne kowale do wzięcia w okolicy to Weldon Higgens, nasz sąsiad, który jakoś nie pała do nas sympatią. Pożar mógł przerzucić się na jego teren, ale nie pomógł gasić.

- Nigdy nie próbował się z tobą umawiać?

- Raz, zaraz po moim rozwodzie.

- Ico?

- I nic. Nie przyjąłem jego zaproszenia. Nie podobało mi się, jak na mnie patrzy. - Przerwała, nagle uświadamiając sobie, co przed chwilą powiedziała. - No widzisz, znowu to samo. Zwierzyłam ci się z czegoś, o czym nigdy i nikomu nie mówiłam. Ty też masz w sobie coś, co sprawia, że ludzie się przed tobą otwierają. - Język się jej trochę plątał ze zmęczenia. Napięcie minęło i teraz czuła ogromną ulgę: lekarze byli dobrej myśli w związku z chorobą ojca, udało się ugasić pożar, dom ocalał.

- Jak dobrze - westchnęła.

- Jeśli chcesz, połóż się do łóżka, będę cię masował, dopóki nie uśniesz, a potem wyjdę po cichu - zaproponował Jake.

Maggie odwróciła się do niego z uśmiechem. Pokręciła głową.

- Trochę śmiała propozycja. Aż tak ci nie ufam. Popelniła błąd. Teraz dopiero się zorientowała, bo Jake utkwiał w jej twarzy poważne spojrzenie i zaczął przeczesać palcami jej długie, jasne włosy. Dzieliło ich od siebie zaledwie kilka, kilkanaście centymetrów.

- Ciesz się życiem, Maggie. Chociaż troszeczkę. Rozum jej podpowiadał, że powinna się odsunąć, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu - czuła się jak spetryfikowana. Całe jej życie zdawało się spetryfikowane. Co w tym złego, jeśli się pocałują? Tylko jeden pocałunek. Szansa na wyrwanie się z codziennej rutyny.

Kiedy Jake nachylił się jeszcze bliżej, z bijącym sercem zaplotła dłonie na jego karku i napotkała pytające spojrzenie. Nie spodziewał się tego gestu. Czy go może zachęcała? Ośmielała? Potraktował to jako zaproszenie?

Wszystko jedno! Nic w tej chwili nie miało znaczenia. Chciała jednego, żeby ją pocałował. Był nieobliczalny, śmiały, zupełnie inny od niej. Bała się go, zachwycała ją. Trudno oprzeć się komuś takiemu.

Zamknęła oczy, uniosła twarz. Czekała.

Ledwie poczuła dotknięcie jego ust, nastąpiła eksplozja. Big Bang. Pasja, namiętność, żądza. Kiedy ostatnio ktoś ją całował? Chciała, żeby pocałunek trwał i trwał, bez końca. W kąt poszły rozsądek, ostrożność, rozwaga.

A jednak nie. Oszołomiona pocałunkiem, trochę nie-

przytomna, położyła mu dłonie na ramionach i odsunęła się odruchowo. Jake natychmiast podniósł głowę.

- Niech to diabli! - szepnął.

Nie zdziwiła się, czuła mnie więcej to samo co on. Coś zawirowało, zakołowało i świat się raptem zmienił. Wstała, Jake też się podniósł.

- Dokąd my zmierzamy, Maggie?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wrócimy do punktu wyjścia. Będzie tak, jak do tej pory. - Nie zabrzmiało to zbyt stanowczo. - Ty żyjesz w drodze, ja mam swój dom, rodzinę. Dzieli nas przepaść. Żadne z nas jej nie pokona.

Jake przesunął palcem po jej policzku.

- Maggie, to tylko niewinny pocałunek. Nie odmieni naszego życia.

- Twojego może nie. W zwykły dzień mniej więcej za godzinę bym wstawała. Ale nie dzisiaj. Idę spać, Jake. Dziękuję, że pojechałeś ze mną do szpitala. Bardzo mi pomogłeś.

- Kładź się już. Ja pogaszę światła.

Czuła na sobie jego spojrzenie, kiedy wychodziła z kuchni. Brzmiały jej jeszcze w uszach ironiczne słowa: „Maggie, to tylko niewinny pocałunek... nie odmieni naszego życia”. Nie odmieni? Ziemia się zatrzęsała. Czy była aż tak samotna, tak strasznie spragniona pieśczo-ty? A może to Jake tak na nią działał? Przestraszyła się tej myśli niebezpiecznie bliskiej prawdy. Nie chciała, żeby ktoś jego pokroju wdzierał się w jej życie z siłą trąby powietrznej i kradł jej serce. Jake pojawił

się nagle i równie nagle odejdzie, zabierze jej serce, a ona zostanie ze swoją tęsknotą.

Tak bardzo chciała znaleźć się w jego ramionach.

- Daruj sobie - mruknęła pod nosem.

Kiedy dotarła do swojej sypialni, przebrała się szybko i zgasiła światło. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie podejść do okna. Podciągnęła bezszelestnie roletę. Jake leżał w hamaku, zdjął koszulkę. Wpatrywała się w niego i natrętnym echem wracała ciągle ta sama myśl: znaleźć się w jego ramionach, przytulić się do jego nagiej piersi.

Położyła się do łóżka. Przed oczami przesuwały jej się obrazy burzliwego dnia: pierwsze płomienie pożaru, Jake walczący z ogniem, Jake biegnący do stodoły, uratowanie ojca, wizyta w szpitalu, wieczór na ganku. I znowu to samo: Jake bierze ją w ramiona, całuje. Wątpiła, czy uśnie.

- Dlaczego pojawiłeś się w naszym domu? - szepnęła z wyrzutem w głosie i zrobiło się jej głupio. Jak to... Przyjechał ostrzec ich przed pożarem.

Musi trzymać się z dala od niego. I możliwie szybko znaleźć kogoś innego do pomocy.

Jake obudził się o brzasku, właściwie na przedświcie, bo kiedy otworzył oczy, słońce kryło się jeszcze za widnokregiem. Już podchodząc do drzwi, poczuł nęcący zapach jajek i bekonu.

Maggie stała przy kuchence, ubrana w dżinsy z ob-

ciętymi nogawkami, czerwony T-shirt i sandały. Zdążyła już zapleść włosy w długi warkocz, jak poprzedniego dnia. Przyglądał się jej przez chwilę, czuł jeszcze pod palcami jedwabiste włosy.

- Dzień dobry - powiedział cicho. Miał ochotę podejść i objąć ją.

Maggie obejrzała się, uśmiechnęła.

- Pomyślałam, że skoro wczoraj głodowałeś cały dzień aż do kolacji, chętnie zjesz teraz porządną porcję jajecznicy na bekonie.

- Bardzo chętnie. - Jake niby to się ucieszył, ale tak naprawdę myśli miał zaprzątnięte zupełnie czymś innym niż śniadanie.

Trzask! Jedno spojrzenie i od razu przeskakuje iskra elektryczna. Maggie szybko odwróciła głowę, ale zdążył jeszcze dojrzeć, jak oblewa się pąsem.

- Mogę ci pomóc?

- Możesz. Zrób tosty i nalej nam kawy - rzuciła przez ramię.

- Dobrze. Umyję się tylko i zaraz schodzę.

Kiedy wrócił, zrobił, o co prosiła, i usiadł z kubkiem w dłoni przy stole. Wymieniali luźne uwagi, nic znaczącego, a Jake, gdyby go zapytać, nie potrafiłby powiedzieć, o czym właściwie rozmawiali, tak był zaabsorbowany Maggie. Co go tak w niej pociągało? Wiele miał kobiet, ale żadna nigdy tak na niego nie działała. Ten pocałunek w nocy... Dość, koniec, szlaban! Wziąć głęboki oddech. O, właśnie. Nie będzie myślał o pocałunkach.

Zabrał się do jedzenia jajecznicy, Maggie tymczasem układała plan dnia:

- Zajrzę do taty, sprawdzę, jak się czuje, potem pojedę po Katy. Jeśli przeniosą go z OIOM-u na zwykły oddział, jeszcze raz wpadnę do szpitala, żeby Katy mogła zobaczyć się z dziadkiem. Po drodze zrobię zakupy i wracam do domu. Aha, muszę spotkać się z rzeczoznawcą z ubezpieczeń.

- Czym mam się zająć w tym czasie?

- Zwierzętami. Weźmiesz starą ciężarówkę i objeździsz ranczo. Narysuję ci mapkę. Potem mógłbyś zacząć stawiać płot w miejsce spalonego. Katy wie, że nie wolno jej wychodzić poza ogrodzenie, dlatego zależy mi, żeby szybko stanęło na powrót. Strach pomyśleć, jak mało brakowało, żeby pożar przeniósł się na dom. Strawił część płotu i drzewo, na którym wisiała huśtawka Katy.

- Ciesz się, że ocalał dom i pozostałe drzewa.

- Owszem, cieszę się. Mogło być znacznie gorzej.

- Śniadanie było świetne. Codziennie takie serwujesz?

Maggie odpowiedziała uśmiechem i Jake musiał stoczyć ciężką walkę z samym sobą: miał okropną ochotę dotknąć kącika jej ust.

- Nie. Tata i Katy potrzebują witamin. Zwykle jemy na śniadanie płatki i owoce. Jutro możesz się spodziewać takiego właśnie menu.

- Dziękuję, że specjalnie dla mnie odstąpiłaś od do-

mowych zwyczajów. - Maggie szeroko otworzyła oczy, słysząc tę uwagę. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że nie chcesz z nikim się umawiać.

- Mnie jeszcze trudniej uwierzyć, że nie masz dziewczyny.

- Trzeba coś z tym zrobić. Jeśli twój ojciec będzie czuł się dobrze, może w sobotę wieczorem wybralibyśmy się na tańce?

Uniosła głowę, po czym natychmiast wbiła wzrok w szklankę z sokiem pomarańczowym.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - bąknęła.

- Maggie, do cholery, wyrwiesz się na kilka godzin z domu. Co w tym złego? Ile miałaś czasu dla siebie w minionym roku? Idę o zakład, że w ogóle nie myślałaś o przyjemnościach i odpoczynku. Coś ci się należy od życia. Zastanów się nad moją propozycją. - Jake odsunął krzesło i wyciągnął nogi przed siebie. - Dobrze, nakarmię i napoję zwierzęta, a potem zajmę się plotem. Coś jeszcze?

Maggie przygryzła wargę. To wystarczyło. Znowu miał ochotę ją pocałować. W nocy twierdził z przekonaniem, że pocałunek to nic wielkiego. Bardzo się mylił. Widać głupiej przy Maggie, skoro wygłasza takie opinie. Efekt uboczny fascynacji. Powszechna przypadłość, dotąd znana mu jedynie ze słyszenia.

Maggie tymczasem tłumaczyła mu, co jest do zrobienia. Niepotrzebnie. Jej słowa nie docierały do Jake'a. Efekt uboczny fascynacji, tak to, zdaje się, określił?

Kilka minut później stał na podwórzu i przyglądał się traktorowi Bena. Maszyna była w opłakanym stanie, podobnie jak ciężarówka. W szopie koło domu znalazł nie nadające się do niczego narzędzia i poprzecierane liny. Ben już dawno musiał podupaść na zdrowiu, a gospodarstwo podupadało razem z nim. Maggie najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy. To jasne, że potrzebowała pomocy.

Mógł się pożegnać z wolnością. Bóg świadkiem, że niczego nie pragnął bardziej, niż wsiąść na harleya i ruszyć przed siebie, gdzie oczy poniosą. Jak najdalej od tego nieszczęsnego miejsca i od Maggie.

Kopnął z całych sił jakąś osmaloną deskę i zaklął.

Zamiast na harleya, wsiadł do sypiącej się ciężarówce, spojrzął na mapkę, którą dała mu Maggie. Konie wypędzone poprzedniego dnia ze stajni miał ponoć znaleźć na łące koło stawu przy północnej granicy rancza. Tylko jeden młody, nieułożony jeszcze ogier trzymany był oddzielnie, na ogrodzonym północno-wschodnim pastwisku.

Jake powoli zapoznawał się z ranczem, wreszcie dotarł na pastwisko. Konie, sześć w sumie, Ben dobrał bardzo starannie. Widać było, że jest w tej materii prawdziwym znawcą. Ledwie Jake wysiadł z ciężarówce, podeszły do niego dwie klaczki. Liczyły na poczęstunek. Przemawiał do nich przez chwilę i na pożegnanie poglądził je po pyskach.

Maggie myślała o pensjonacie, żeby odciążyć trochę

ojca, ale, mając takie zwierzaki, z powodzeniem mogłaby prowadzić stadninę.

Potem pojechał do oddzielonego od reszty koni ogiera. Kasztanek pał się z dala od ogrodzenia, pozornie nie reagując na obecność człowieka. Był wyjątkowo piękny, ale Maggie twierdziła, że to stworzenie z piekła rodem.

Jake powoli otworzył bramkę i podjechał do zbiornika z wodą, sprawdził, czy jest pełny, i zerknął na ogiera; koń stał kilkadziesiąt metrów od niego i obserwował intruza, strzygąc uszami.

- Zaciekawilem cię, Czerwony Czarcie? - zagadnął Jake, odwrócił się i ruszył w kierunku ciężarówki.

W pewnym momencie spojrzął przez ramię. Koń szedł za nim. Teraz z kolei Jake zaczął udawać obojętność. Zdjął ze skrzyni zwój lin i zajął się ich wiązaniem. Ogier powoli podchodził, ale ilekroć Jake zerknął w jego stronę, zatrzymywał się. W końcu, mniej więcej po półgodzinie, dzieliło go od Jake'a zaledwie kilka metrów.

- Do jutra, mały - pożegnał go Jake, pewien, że koń nie jest wcale takim biesem, jak sądzili Aldenowie.

Maggie wróciła wczesnym popołudniem, Jake akurat czyścił na podwórzu narzędzia z sadzy. Ledwie zgasiła silnik, z auta wyskoczyła Katy, a w ślad za nią pies. Spojrzała na Jake'a i pobiegła do domu. Odprowadził ją wzrokiem, potem szybko wytarł dłonie i podszedł do Maggie.

- Jak ojciec? - zapytał, biorąc część zakupów.

- Znacznie lepiej. Jest już na oddziale ogólnym. Katy mogła go odwiedzić. Lekarz mówi, że wypiszą go w przyszłym tygodniu.

Wnieśli torby do kuchni i postawili je na stole.

- Rozmawiałam z szeryfem AWarezem. To było podpalenie. Ktoś podłożył ogień.

Jake znieruchomiał na te słowa.

- Podłożył czy zaproszył? Zaczęło się palić za daleko od szosy, żeby trawa zajęła się od wyrzuconego z samochodu niedopałka.

- Szeryf uważa, że to dzieciaki. Być może strzelały z kapiszonów i tak się zaczęło.

- Dzieciaki miałyby przyjść tak wcześnie rano na łąkę, żeby strzelać z kapiszonów? - Jake jakoś nie mógł uwierzyć w wersję szeryfa.

- A któż by inny?

W kuchni pojawiła się Katy w towarzystwie swojego kudłatego przyjaciela.

- Cześć. Stęskniłaś się za domem? - przywitał ją Jake.

Mała zerknęła na niego i przytuliła się do matki.

- Odpowiedz panu Reinerowi.

- Aha - padła wyczerpująca odpowiedź, po czym Katy pociągnęła matkę za rękę i szepnęła, że chce banana. Kiedy go dostała, natychmiast uciekła z kuchni.

- Boi się mnie. - Jake dał dowód przenikliwości.

- Rzadko ma kontakt z obcymi. Żyjemy w zamkniętym świecie, widzujemy ciągle tych samych ludzi.

- Macie piękne konie - Jake zmienił temat.

Maggie skinęła głową.

- To zasługa taty. Myślał o założeniu hodowli, ale potem zrezygnował.

- Widziałem Czerwonego Czarta. Mówiłaś, że chcesz go sprzedać. Daliście ogłoszenie. Wycofaj je. Zajmę się nim i albo sam go kupię, albo znajdę dobrego kupca.

- Ten koń to urodzony morderca. Nie pozwala się ujeździć, nie daje się dosiąść. Uważaj na niego. Gryzie, kopie, wierzga. Ludzie, którzy u nas pracowali, nie chcieli nawet zrzucić mu paszy. Tata też go nie lubi, a ma podejście do zwierząt.

Jake miał w pamięci dzisiejsze podchody Czarta. Koń szedł za nim, był go ciekaw.

- Wycofaj ogłoszenie. Tego ogierka można ułożyć. Daję ci słowo. Może sam go kupię - powtórzył.

Maggie parsknęła śmiechem.

- I będzie biegał za twoim harleyem?

- Mam już kilka koni. Trzymam je u Jeba Stuarta.

- Dobrze ci radzę, zapomnij o tym ogierze.

- Ani mi to w głowie.

Maggie wsparła dłoń na biodrze i przechyliła głowę. Mierzyła Jake'a uważnym spojrzeniem.

- Jesteś tak samo uparty jak Czart. I lubisz wyzwania.

- Owszem, Maggie, uwielbiam wyzwania - przy-

znał Jake, przeciągając zgłoski. To była wieloznaczna odpowiedź.

Maggie burzyła mu spokój ducha, lecz on jej też. Jake czuł to doskonale. Był dokładnie takim typem faceta, z którym wolałaby nie mieć nic wspólnego.

A jednak podszedł do niej, położył jej dłonie na ramionach. Zrobiła wielkie oczy i spaşowiała. Jake znał ją już na tyle, że mógł przewidzieć taką reakcję.

- Odsuń się, Reiner - wyszeptała zdławionym głosem.

- Jak sobie pani życzy. - Miała rację. Wyszedł szybko z kuchni. Musiał, bo w przeciwnym razie nie powstrzymałaby się przed kolejnym pocałunkiem. A ona, oczywiście, oddałaby go, jak ostatniej nocy.

Obydwoje stanowili dla siebie nawzajem jawne zagrożenie. Powinien trzymać się z dala od Maggie. Na podwórzu zobaczył Katy stojącą przy zwęglonych resztkach huştawki. Przestraszyła się na jego widok. Uśmiechnął się promiennie, chcąc ją trochę ośmielić. Nie miał zielonego pojęcia, jak człowiek powinien obchodzić się z dziećmi. Jeb Stuart miał trzyletnią córeczkę, ale Jake prawie jej nie widywał, kiedy pracował u przyjaciela.

- Straciłaś huştawkę - zagadnął, podchodząc do małej.

Najwyraźniej miała ochotę uciec, ale przemogła lęk i skinęła głową.

- Zbuduję ci nową. Wybierzemy jakies ładne drze-

wo w ogrodzie, na którym będzie ją można powiesić.
Zgoda?

Znowu skinęła głową, zbyt wystraszona, żeby odezwać się choćby słowem. Odszedł, nie chcąc jej dłużej męczyć. Obejrzał się jeszcze i pomachał jej dłonią.

Wieczorem, kiedy Maggie wróciła już ze szpitala i położyła Katy spać, usiadła z Jakiem na ganku. Pod rozgwieżdżonym niebem, w ożywym chłodzie słuchała jego opowieści o rodeo, koniach, miejscach, które odwiedzał w czasie swoich wędrówek.

Powinna go unikać, wracała natrętna myśl. Nie może pozwolić, żeby ten człowiek wdzierał się w jej życie. Musi się bronić. Łatwo powiedzieć! Powtarzała to sobie już drugi dzień, bez skutku. Nigdy nie podejrzewała, że jest osobą pozbawioną woli. Teraz miała przykry tego dowód. Przykry? Łagodnie powiedziane. Zatrważający dowód.

- Ja ci już o sobie opowiedziałem - Jake przerwał jej smętne rozmyślenia. - Teraz twoja kolej, Maggie.

- Niewiele mam do opowiadania. Prowadzę zwykłe życie bez przygód. Urodziłam się tutaj, tutaj dorastałam, wyszłam za chłopaka z sąsiedztwa, urodziłam Katy, rozwiodłam się, teraz mieszkam z ojcem. Nie podróżowałam, nie znam świata, ale jestem szczęśliwa.

- Jak długo byłaś mężatką?

- Dwa lata. Dopóki mój mąż nie stwierdził, że małżeństwo to więzienie, że dusi się, nie może myśleć,

normalnie funkcjonować. Ty żyjesz cały czas w drodze, więc pewnie to rozumiesz, ja nie potrafiłam. Muszę mieć poczucie bezpieczeństwa, korzenie, swoją historię, rodzinę.

- Tam, gdzie jest miłość, jest i cierpienie - burknął Jake i zapatrzył się w dal z dziwnie zaciętym wyrazem twarzy.

- Byłeś żonaty?

- Nie, ale tak już jest. Jeśli kochasz, prędzej czy później albo ty zadasz ból, albo ta druga osoba ci go przysporzy.

- Miłość warta jest chyba takiej ceny - zaoponowała Maggie. Nie wiedziała, skąd w słowach Jake'a tyle jest gorczy.

- Znalazłaś kogoś na moje miejsce? - zmienił temat.

- Nie, ale szukam. Rozpuściłam już wici. W przyszłym tygodniu dam ogłoszenie do naszej gazety. - Maggie wstała. - Pójdę już.

Jake zerwał się na równe nogi i objął ją lekko w talii.

- Co z sobotnimi tańcami? Twoja siostra mogłaby wziąć Katy do siebie. Twój ojciec wychodzi ze szpitala dopiero w przyszłym tygodniu. Wybierzmy się gdzieś razem w sobotę wieczorem.

Maggie milczała. Rozsądek mówił jej, że nie powinna nigdzie się wybierać z Jakiem, ani w sobotę, ani w żaden inny dzień. Nigdzie i nigdy. Czego się bała? Może wspomnień. Po odejściu męża długo nie mogła dojść do siebie. Jake był człowiekiem drogi, tęskniącym

za swobodą jeszcze bardziej niż Bart. Jeśli nie chce się w nim zakochać, nie ma mowy o żadnych wspólnych wypadach. Była bardzo mądra - w teorii. Musiała powiedzieć „nie”. Jedno krótkie, stanowczo brzmiące słowo. Dalej milczała jak zaklęta. Tak dawno nigdzie nie była. Perspektywa spędzenia wieczoru z Jakiem nęciła, kusila...

- Nie powinnam zostawiać...

- Katy nie stanie się nic złego, jeśli przenocuje u swojej ciotki. A ty się rozerwiesz. Nad czym tu się zastanawiać?

- Nie udawaj niewiniątka. Wiesz doskonale, nad czym się zastanawiam.

- Nie zakochamy się w sobie. Nie będziemy łamać sobie nawzajem serc.

- Bardzoś pewny swego. - Irytował ją. Zachowywał się, jakby zjadł wszystkie rozumy. Zobaczymy, mój panie. Zarzuciła mu dłonie na szyję. - Nie zakochasz się? - zapytała cicho. - Na twoim miejscu byłabym ostrożniejsza. - I pocałowała go, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Objął ją mocno i rozluźnił uścisk dopiero wtedy, gdy obojgu zabrakło tchu.

- Dobrze, pójdę z tobą na tańce, ale nie w tę, tylko w następną sobotę - zgodziła się. - Teraz nie potrafiałbym się bawić. Za bardzo martwię się o tatę. A co do łamania serc, ja potrafię strzec swojego, ale tobie radziłabym uważać.

Pocałowała go jeszcze raz, po czym odwróciła się na pięcie i zniknęła w głębi domu. Leżąc w łóżku, długo jeszcze zastanawiała się, kto go tak bardzo skrzywdził.

W sobotnie popołudnie Jake kończył naprawiać płot wokół podwórza. Od jakiegoś czasu czuł na sobie czyjeś spojrzenie. Odwrócił się. Katy. Siedziała na wielkiej czerwonej pilce i wpatrywała się w niego wielkimi niebieskimi oczami, takimi jak oczy matki.

- Cześć - przywitał ją.

- Cześć. - Chodziła za nim od kilku dni, przyglądała mu się, obserwowała.

W czwartek pierwszy raz powiedział jej „cześć”, a ona bąknęła coś w odpowiedzi. W piątek odważyła się wypowiedzieć kilka zdań.

- Kiedy skończysz? - zainteresowała się.

- Już kończę i zacynam budowanie nowego koralu dla waszych zwierząt. Musi być duży, żeby konie miały gdzie biegać, i bezpieczny, żeby nie uciekły.

- A zrobisz mi huśtawkę? - Była to najdłuższa rozmowa, na jaką dotąd zdobyła się Katy. Prawdziwe gadulstwo.

- Jasne, tylko musimy znaleźć odpowiednie drzewo.

- To znajdziemy teraz. Ale tutaj, bo mama musi mnie widzieć z okna.

- Co teraz robi?

- Myśli, w co się ubrać. Umówiliście się na randkę?

- Owszem. Nie masz nic przeciwko temu?

Katy przechyliła głowę i zastanawiała się przez chwilę.

- Nie - oznajmiła w końcu z powagą.

- Coś ci powiem. Jutro razem z mamą, we troje, wyszukamy drzewo, na którym powiesimy nową huśtawkę. Musi być wysokie i mieć grube, mocne konary. Zgoda?

- Tak - odparła Katy i popędziła w stronę domu.

Miły dzieciak, pomyślał Jake, odprowadzając wzrokiem drobną figurkę. Zanim zdążyła zniknąć, na ganku pojawiła się Maggie. Pomachała mu i weszła z córką do środka. Niedługo miała odwieźć małą do siostry.

Jake skończył naprawiać płot i poszedł wybierać drewno na ogrodzenie koralu. Cały czas zastanawiał się, dlaczego Maggie zgodziła się na wspólne wyjście wieczorem. Zaskoczyła go, a już jej pocałunek zbił go z pantafelku. Ciągle go czymś zdumiewała. Ostatniej nocy prawie nie spał, bo myślał o niej. Nie mógł już doczekać się wieczoru. Będzie z nią tańczył, będzie trzymał ją w ramionach. Będzie ją miał tylko dla siebie.

Czy kusili los? Nie przypuszczał. On zawsze odchodził, a ona miała się na baczości, tego był pewien.

O szóstej skończył pracę, odłożył narzędzia i ruszył w stronę domu. Nadal sypiał w hamaku, ale musiał wziąć prysznic i przebrać się. Mógł korzystać z sypialni i łazienki, które już pierwszego dnia wskazała mu Maggie.

Natknął się na nią w kuchni; stała przy zlewozmy-

waku ze szklanką wody w dłoni. Wyglądała bardzo seksownie w obcisłych dżinsach i bawełnianej koszulce bez rękawów. Nie zaplotła włosów, tylko związała je luźno na karku. W uszach miała ogromne srebrne kolczyki, na rękę bransoletkę.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział cicho.

- Dziękuję. Jestem już gotowa. Poczekam na ciebie w bawialni.

- Zaraz wracam. Tylko, broń Boże, nie jedź beze mnie.

Maggie uśmiechnęła się i wyszła z kuchni. Jake był ciekaw, czy i ona jest tak podekscytowana jak on. Niedługo będzie miał okazję przekonać się o tym.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maggie powtarzała sobie z uporem, że spędzony razem wieczór to nic wielkiego, kilka godzin dobrej zabawy. Powinna potraktować rzecz równie niefrasobliwie jak Jake. Kiedy jednak pojawił się w pokoju, jej postanowienia ulotniły się niczym poranna mgła.

- Może jednak nie powinniśmy jechać - Maggie wykrzeszała z siebie resztkę silnej woli.

- Może nie powinniśmy, ale pojedziemy - powiedział Jake, ujmując ją pod ramię. - Byłaś taka pewna, ostrzegałaś mnie, żebym się pilnował, a teraz się boisz?

- Jedźmy, zanim zmienię zdanie.

Kiedy szli do pikapa, Jake wskazał na swojego harleya.

- A może tak...?

- Nie, jedno głupstwo wystarczy. Nie zamierzam popełnić następnego.

- Pewnego dnia... - Jake zatrzymał się i dotknął policzka Maggie. - Pewnego dnia wszystkie twoje zastrzeżenia znikną i nawet nie będziesz wiedziała, jak i kiedy. Postaram się o to.

- Jasne. - Maggie uśmiechnęła się beztrąsko. - Ty prowadzisz.

Jake pomógł jej wsiąść, po czym usadowił się za kierownicą.

- Zaczęłeś ogradzać koral. Szybko pracujesz - odezwała się po długiej chwili. - Tata się ucieszy, kiedy mu o tym powiem.

- Chciałbym skończyć przed jego powrotem do domu.

- Wszystko się teraz zmieni. - Maggie westchnęła. - Powinnaś pospieszyć się z otwarciem pensjonatu.

- Znajdziesz kogoś do pomocy, kto będzie mógł wy-
ręczyć Bena w cięższych pracach.

- W cięższych, lżejszych. We wszystkich. Nie chcę, żeby tata cokolwiek robił - oznajmiła Maggie i Jake wiedział już, że nie opuści szybko rancza Aldenów.

Dotarli wreszcie do zatłoczonej, dudniącej muzyką, huczącej wrzawą tancbudy i zaczęli się przeciskać między stolikami. Jake natychmiast się zirytował, bo co chwilę ktoś pozdrawiał Maggie, a faceci patrzyli na nią tak, że miał ochotę otoczyć ją ramieniem i wyprowadzić z sali.

- Znasz wszystkich w tym hrabstwie - zauważył z przekąsem, kiedy wreszcie znaleźli miejsce.

- Ile razy mam ci powtarzać, że mieszkam tu od urodzenia. Ty też już znasz kilka osób. Uważaj, bo ani się obejrzyysz, jak zapuścisz u nas korzenie.

- Straszysz mnie?

- Podejrzewam, że mało jest rzeczy, które mogłyby cię przestraszyć - powiedziała Maggie ze śmiechem.

- Więcej, niż przypuszczasz. - Jake zerknął do karty. - Przekonamy się, czy w Oklahomie robią równie dobre żeberka jak w Teksasie - zmienił gładko temat.

Ciekawe, czego się bał. Stabilizacji? Małżeństwa? Wybrał inny tryb życia? W porządku, mogła to zrozumieć, ale nurtowało ją pytanie; dlaczego? Czowała, że istnieje jakaś przyczyna takiej decyzji i że to ona jest właśnie źródłem lęków Jake'a. Skąd ta obawa przed zaangażowaniem, gorzkie stwierdzenie, że miłość musi łączyć się z bólem. Czy ciągle nie mógł pogodzić się z tym, że cała jego rodzina zginęła w płomieniach? Pomyslała, że już nigdy się nie dowie. Trwał, zamknięty w swojej skorupie. Podróżował z miejsca na miejsce niczym najbardziej wolny z wolnych duchów, ale był więźniem własnych lęków, bardziej niż ona była więźniem rodzinnego rancza.

- Wszyscy faceci gapią się na ciebie, ale jeden jest wyjątkowo irytujący - odezwał się Jake znad talerza z żeberkami z grila, przerywając tok jej myśli. - Siedzi za tobą, przy stoliku w rogu.

Maggie spojrzała we wskazaną stronę, i zobaczyła bladą, zaciętą twarz Weldon Higgensa. Skinęła mu głową i odwróciła się szybko.

- To sąsiad, o którym ci wspominałam. Nie utrzymujemy z nim żadnych kontaktów - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Cały czas się w ciebie wpatruje.

- Nie lubię tego człowieka. Kiedyś dwa nasze woły stratowały płot i przeszły na jego łąkę. Zastrzelił zwierzętą, a ojcu poradził, żeby pilnował swojego bydła.

- Jeśli chcesz, to teraz ja udzielę mu rady. Powiem, żeby zajął się własną osobą.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Ja go po prostu ignoruję.

- Skoro tak, ja też będę go ignorował. W końcu nie po to tu przyjechaliśmy, żeby zajmować się panem Higgensem.

- A po co? - zainteresowała się Maggie.

- Po to, żebym mógł wziąć cię w tańcu w ramiona, przytulić i czuć bicie twojego serca.

- Potrafisz znaleźć odpowiednie słowa, a ja nie potrafię ukryć, że wywierają skutek.

Kiedy Jake dotknął jej policzka, cofnęła się gwałtownie.

- Wszyscy będą plotkować, że kiedy tata leży chory w szpitalu, ja sobie chodzę na tańce z facetem, który pojawił się nie wiadomo skąd, i w dodatku zamieszkał pod moim dachem - zafrasowała się poniewczasie.

- Chciałaś chyba powiedzieć, że pod gołym niebem. Wszyscy pewnie już wiedzą, że sypiam w hama-ku w ogrodzie. - Jake wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Po naszym dzisiejszym występie nikt w to nie uwierzy.

- Maggie, ci ludzie to twoi przyjaciele, nie życzą ci źle.

- Może masz rację.

- Chodź, zatańczymy.

Maggie wstała, rada, że może zakończyć niepotrzebną rozmowę, i oboje wyszli na parkiet. Ledwie Jake ją objął i zaczęli kołysać się w rytm spokojnej muzyki, zapomniała o swoich zastrzeżeniach. Jest wspaniale, pomyślała.

Jake żartował, prawil jej komplementy, starał się jak mógł, żeby dobrze się bawiła. Po kilku tańcach przeprosiła go i poszła do toalety. Kiedy wróciła, zobaczyła scenę, która ją zaniepokoiła. Jake rozmawiał z Weldonem. Mówił coś do niego i cała postawa Higgensa, wykrzywiona twarz, zaciśnięte pięści, najwyraźniej świadczyły o tym, że jest wściekły.

Jake nagle odwrócił się, podszedł do Maggie i poprowadził ją na parkiet.

- O co mu chodziło?

- Porozmawialiśmy sobie chwilę.

- Jake, to nasz sąsiad. Dość mamy z nim kłopotów, nie prowokuj kolejnego konfliktu.

- Ten facet zachowuje się jak psychopata. Nie spuszcza z ciebie wzroku. Nie podoba mi się to. Może być groźny. Powiem szeryfowi.

- Zlituj się! Co mu powiesz? Że facet mi się przyglądał na sobotnich tańcach? Mówiłam ci już, zaraz po moim rozwodzie chciał się ze mną umówić. Ja nie

chciałam, bo czuję się nieswojo w jego obecności. To wszystko.

- Nie musi się wgapiać w ciebie przez cały wieczór.

- Uspokój się, właśnie wychodzi. - Maggie wskazała w kierunku drzwi. - Wypędziłeś go.

- Nie zaprzataj sobie nim głowy. Zatańczymy? Ale Maggie miała jeszcze coś do powiedzenia. Zachowanie Jake'a zirykowało ją.

- Potrafię sama zadbać o siebie. Nie potrzebuję niańki.

- Twój ojciec prędzej przyznałby rację mnie niż tobie.

- Nie zasłaniaj się tatą. I nie wspominaj mu o rozmowie z Weldonem, bo nie chcę, żeby się denerwował. Dość ma już z nim zgryzot. Mało że ten drań zabił woły, teraz chciałby jeszcze kupić nasze ranczo.

Orkiestra zaczęła grać kolejną, żywą melodię i sprzeczka się skończyła.

Bawili się do samego końca. Wyszli po północy, z ostatnimi gośćmi.

- Wracajmy szybko do domu - powiedział Jake, otwierając drzwiczki auta. - Chcę cię pocałować na dobranoc.

- Nie mogę się już doczekać. - Maggie była w załotnie niefrasobliwym nastroju.

Pod domem Jake chwycił ją wpół i prawie wyjął z samochodu, po czym objął i przytuleni ruszyli w stronę ganku. Droga okazała się wyjątkowo długa i nie od

razu dotarli do celu. Zatrzymali się pod rozłożystym starym dębem na środku podwórza.

- Nie spotkałem nigdy takiej kobiety jak ty - oznajmił Jake, zaglądając w oczy Maggie.

- Nie przesadzaj. Nie ma we mnie nic niezwykłego.
- A jednak słowa Jake'a sprawiły jej przyjemność. Ona też nie spotkała nigdy kogoś takiego jak on.

- Jesteś niezwykła - szepnęła, zawieszając wzrok na jej ustach. - I to, co się ze mną dzieje, też jest niezwykle.

Maggie czuła przyspieszone bicie serca, narastające podniecenie. Przez cały wieczór obserwowała Jake'a, ciągle odkrywała w nim nowe cechy, ciągle czymś ją zaskakiwał. I cały czas myślała o tym, żeby go dotknąć, być blisko, bliżej niż pozwalał na to taniec. Maggie, to tylko miły epizod, próbowała napominać się w duchu, ale już poczuła wargi Jake'a na swoich ustach. Skończyły się trzeźwe napomnienia, ciało Maggie trawił ogień. To jakaś plaga pożarów, pomyślała.

Jake zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Nie...

- Ciii. Pozwól się dotknąć.

Ba! „Pozwól się dotknąć”. Ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko sięga jego pieszczota, że dotyka samego serca. Ale tak, pragnęła tego. Pragnęła kowboja, który na ryczącym harleyu wdarł się w jej życie, wnosząc w nie pożądanie i namiętność.

Rozbierał ją powoli. Zdjął z niej bluzkę, rozpiął czarny koronkowy stanik, pieścił piersi. Oczekiwał, że bę-

dzie się opierała, że mu umknie, znowu zamknie się w swojej skorupie, ale nie. Drżała na całym ciele i całowała go zapamiętale. Maggie była stworzona do dawania.

Buty, dzinsy... kolejne części ubrania lądowały na ziemi. Zabrzęczały klucze.

- Jesteś wyjątkowa. - Porwał ją na ręce i ruszył w stronę domu.

- Powiedziałem ci, że jesteś wyjątkowa, ale to określenie nie wystarczy. - Jake przewrócił się na plecy, jeszcze zdyszany, oszołomiony miłosnymi uniesieniami. Przygarnął Maggie do siebie i okrył oboje prześcieradłem.

Zaczynała mieć wątpliwości, niejasne wyrzuty sumienia. Lepiej o tym nie myśleć, powiedziała sobie. Spojrzała w oczy Jake'a i zadała mu pytanie, które nurtowało ją niemal od chwili ich pierwszej rozmowy.

- Dlaczego tak bardzo zamykasz się w sobie?

- Straciłem całą rodzinę. Opowiadałem ci o tym - odparł. Trudno było mu mówić o swoich uczuciach, wracać do bolesnych wspomnień, chociaż wiedział doskonale, że jeśli komuś już miałby się zwierzać, to właśnie Maggie.

- Moi rodzice pili. Ojciec prawdopodobnie zasnął z papierosem. Strażacy twierdzili, że pożar zaczął się w ich sypialni. Podobno najpierw zajął się materac - mówił ze ściśniętym gardłem. - Miałem czternaście lat,

byłem niezdolny, rozrabiałem. Wymknąłem się z domu, żeby pograć w bilard. Potem imprezowałem jeszcze z kumplami. Wracalem do domu w srodku nocy. Z daleka zobaczyłem plomienie. Calá moja rodzina zginęła. Straciłem rodziców i dwóch mlódszych braci. - Jake zacisnął dlonie. - Nie bylo mnie z nimi. Nie mogłem im pomóc, kiedy mnie potrzebowali. Jestem winny ich śmierci. - Tłumiony latami ból powrócił ze zwielokrotnioną siłą.

- Nie mozesz się oskarżać - zachnęła się Maggie.

- Gdybyś był wtedy w domu, zginąłbyś razem z nimi.

- Tak byłoby najlepiej - mruknął Jake z goryczą.

- Nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiałem. - Jej mógl zaufać, mógl powierzyć najskrytsze sekrety. Wiedział, że spotka się ze zrozumieniem i serdecznym współczuciem.

Pogłaskała go delikatnie po policzku.

- Nic nie mogłeś zrobić.

- Mogłem uratować moich braci. - Przed oczami stanął mu pokój chłopców. - Mogłem wynieść ich z domu. Powinienem był. Cholera, po co o tym mówimy!

- Był zły, że mroczna przeszłość zakłóciła jedną z najpiękniejszych nocy w jego życiu.

- Mówimy o tym, bo zadałam ci pytanie. Chcę cię poznać, wiedzieć, co czujesz. Co się działo potem, po pożarze?

- Byłem w kilku rodzinach zastępczych, ale ciągle uciekałem. W końcu trafiłem na ranczo dla takich po-

paprańców bez przydziału jak ja. To mnie uratowało. Kiedy kończyłem osiemnaście lat, brałem już udział w rodeo i zacząłem zarabiać niezłe pieniądze. - Popatrzył smutno na Maggie. - Życie nauczyło mnie, co znaczy ból po stracie najbliższych.

- Och, Jake! - Uściskała go. - Nie obwiniaj się. Twoja rodzina nie chciałaby, żebyś cierpiał. Na pewno byliby nieszczęśliwi, widząc, jak z powodu tamtej strasznej nocy całe życie uciekasz przed miłością.

Jake nie odpowiedział. Maggie w ciszy, z głową na jego piersi, wsłuchiwała się w miarowe bicie serca tego silnego, nieokiełznanego człowieka. Tak, był silny, nieokiełznany, szorstki, a przecież potrafił narażać życie dla ratowania jej ojca, ciepło i serdecznie odnosił się do Katy, jej samej okazał pomoc i zrozumienie w czasie pożaru.

Maggie usiadła w pościeli.

- Dlaczego tak cię pociąga rodeo, ryzyko, niebezpieczeństwo?

- Rodeo jest podniecające, przynosi mi pieniądze i, co najważniejsze, daje poczucie wolności.

- Miałeś kiedyś wypadek w czasie występów?

- Tak, ale przy tobie o wszystkim zapominam. -

Przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami. - Maggie, z każdą chwilą pragnę cię bardziej.

- Nie przypuszczałam, że to możliwe.

- Taka noc, jak dzisiejsza? - zapytał, całując ją w szyję.

- Nie tylko. Ta noc, magia. Ty.

Tym razem, kiedy się kochali, posadził ją sobie na biodrach. Długie, jasne włosy Maggie opadały na jego twarz, na pierś... Poruszali się jednym rytmem, coraz szybciej, do końca, do spełnienia. Potem leżeli spleceni ze sobą, zdyszani, szczęśliwi i wyczerpani.

- Jedź ze mną do Oklahoma City - powiedział, łapiąc oddech. - Biorę udział w rodeo z okazji Święta Pracy.

- Dobrze.

- Zaproś ojca i Katy.

- Obydwoje uwielbiają rodeo i na pewno chętnie pojedą.

Jake przewrócił się na bok.

- Och, Maggie, miałbym ochotę w ogóle nie wychodzić z łóżka.

- Musisz. Kiedy pierwszy kur zapieje, czar pryśnie i trzeba będzie wrócić do rzeczywistości. - Słowa Maggie brzmiały niezwykle rozsądnie, ale dopóki mogła, wołała nie myśleć, co ze sobą niosą.

- Ale na razie jesteś moja. Należysz tylko do mnie, mam cię tylko dla siebie. - Jake wstał, uniósł Maggie.

- Weźmiemy prysznic i wrócimy do łóżka.

- Jasne, kowboju. - Doskonale wiedziała, że pod prysznicem też będą się kochać.

Leżała w ramionach śpiącego głęboko Jake'a. Rozmyślała. Odważyła się na szalony, nieprzemyślany krok.

Dała mu wszystko. Jake był wolnym duchem, człowiekiem drogi, a tacy ludzie z nikim się nie wiążą. Popęłniła błąd, ale błąd cudowny. Słuszny błąd, jeśli coś takiego istnieje. Zakochała się. Jake... Spieszący z pomocą, gdy trzeba. Silny i delikatny. Jake, który jej pierwszej zwierzył się, jak głęboko tkwi w nim ból po stracie rodziny.

Przesunęła palcami po jego ramieniu, odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła. Jake, dar losu. Zdawała sobie sprawę, że nadejdzie dzień, kiedy pożegna się z nią, wsiądzie na swojego harleya i odjedzie w siną dal.

Rano kochali się znowu, potem długo jeszcze leżeli spleceni ramionami, wreszcie Maggie wysunęła się z łóżka.

- Nie wstawaj jeszcze - mruknął Jake.

- Muszę. Obiecałam Patsy, że odbiorę Katy. Umówiliśmy się w kościele. Możesz ze mną jechać, jeśli chcesz.

- Zostanę. Możesz pojechać po nabożeństwie. Mieilibyśmy jeszcze godzinę dla siebie.

- Wykluczone. Jestem wykończona.

Przyciągnął ją i zaczął całować z zapamiętaniem.

- Pragnę cię coraz bardziej z każdą chwilą - powtórzył słowa, które padły już w nocy.

Maggie mocniej zabiło serce. I ona go pragnęła, pragnęła jak nigdy nikogo.

- Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam - powiedziała, wyswobadzając się z objęć Jake'a.

- Niech to diabli - rzucił jeszcze, kiedy zniknęła w łazience.

Maggie uśmiechnęła się filuternie i zatrzasnęła drzwi, bo Jake zerwał się z łóżka i wielkimi krokami zmierzał w jej stronę. Weszła pod prysznic, głucha na rozpaczliwe nawoływania i łomotanie. Nienasycony kowboj po chwili skapitulował. Ich noc się skończyła, zostało po niej tylko wspomnienie, mówiła sobie, myjąc włosy.

Rozstanie będzie bolesne, ale postanowiła, że nie pozwoli, by uczucia nią zawładnęły.

Wytarła się, wysuszyła włosy, związała je w węzeł, włożyła niebieską suknię bez rękawów i niebieskie klapki na obcasie.

Kiedy zeszła na dół, w kuchni czekało już śniadanie. Jake zmierzył ją nieco zdziwionym spojrzeniem: pierwszy raz widział ją w sukience.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wspaniale wyglądasz. - Podszedł do niej, objął ją i pocałował.

- Ty też nieźle. - Oddała mu pocałunek i na wszelki wypadek cofnęła się o krok. Gotowa jeszcze nie pojechać do miasta po Katy, jeśli będą tak czulić się do siebie.

Jake nie spuszczał z niej wzroku. Co myślał? Trudno powiedzieć. Skinął głową i zaczął nakładać jajecznicę na talerze.

- Napijesz się mleka? - zapytał.

- Nie, dzięki.

Przygotował wspaniałe śniadanie, ale prawie go nie tknął, tak był pochłonięty Maggie.

Po śniadaniu odprowadził ją do samochodu. Wycho-
dząc na podwórze, uniosł głowę, i wystawił twarz na wiatr.

- Wieje ze wschodu. Może wreszcie spadnie deszcz.

- Obyś miał rację. Dawno nie mieliśmy tak długiej suszy.

- Nie jesteś specjalnie przekonana do mojej racji, sądząc po głosie. - Przytulił Maggie. - Masz jeszcze

mnóstwo czasu. Zdażysz do kościoła. Może przejedziemy się na motorze? Tylko kawałek. Do głównej drogi i z powrotem.

- W sukience? - obruszyła się.

- Nikt cię przecież nie będzie oglądał.

Wahała się chwilę, w końcu uległa namowom.

- Zgoda, ale obiecaj, że wrócę bezpiecznie.

Jake ujął jej twarz w dłonie.

- Przy mnie zawsze będziesz bezpieczna.

- Nie składaj obietnic, których nie będziesz mógł dotrzymać - odparła Maggie, patrząc Jake'owi prosto w oczy.

- Nie sposób ci się oprzeć. - Wołał ją pocałować, niż wdawać się w niebezpieczną rozmowę.

Maggie zadrżała i przywarła do niego z cichym jękiem. Zareagowała tak zmysłowo, że Jake'a doprawdy wiele wysiłku i żelaznej woli kosztowało, by nie porwać jej na ręce i nie zanieść z powrotem do domu. Nie porwał jej i nie zaniósł, tylko całował i ciągle, ciągle nie mógł się nadziwić, jak bardzo pragnie tej niezwyklej kobiety.

W końcu oderwali się od siebie. Z jakim trudem im to przyszło, żadne słowo tego nie opisze. Oczy Maggie gorzały czystym pożądaniem, z Jakiem sprawa miała się niewiele lepiej.

Ujął ją za rękę i pociągnął w stronę harleya. Wskoczył na siodło, Maggie uniosła suknię i usiadła za nim.

- Do dzieła, kowboju. Przewieź mnie - oznajmiła z prowokującym uśmiechem.

- Oj, przewiozę cię, przewiozę, moja piękna.

- Zapal silnik.

- Dawno zapalony.

Maggie roześmiała się.

Harley ryknął i Jake powoli wyjechał na drogę. Nie przyspieszał, bo nie chciał wystraszyć Maggie. Poza tym nigdzie mu się nie spieszyło. Mógłby tak jechać z nią przed siebie, bez celu, przez cały dzień albo jeszcze dłużej.

Po powrocie z przejażdżki zatrzymał się przy pikapie.

- To była prawdziwa przygoda - powiedziała Maggie, sadowiąc się za kierownicą.

- Przygoda byłaby wtedy, gdybyśmy pojechali hen, gdzie nas oczy poniosą.

- Zamiast hen, wolę jechać do kościoła i odebrać Katy. - Kiedy pocałował ją na pożegnanie, zmierzyła go niemal surowym spojrzeniem. - Bywaj, Jake.

Patrzył przez chwilę za znikającym samochodem, czuł na ustach jej wargi, dotyk jej ciała, pamiętał każdy najdrobniejszy szczegół minionej nocy i wiedział z porażającą jasnością, że Maggie pożegnała się z nim na dobre, mimo że miał jakiś czas zostać jeszcze na ranczu, pracować dla niej, widywać ją codziennie.

Maggie nie była dla niego. Mógłby być tylko z kimś, kto wędrowałby z nim przez Stany, nie tęsknił za stabilizacją, nie dążył do ślubu.

A Maggie chciała trwałego związku. Usankcjonowanego. Maggie nie ruszyłaby się ze swojego zakątka świata. Nie rozumiała, jak można żyć tak jak on, ciągle w drodze.

No i była jeszcze Katy. Bardzo łatwo zburzyć życie małego człowieka, a Jake nic nie wiedział o dzieciach, ich psychice, wychowaniu, tym bardziej, gdy chodziło o dziewczynki.

W poniedziałek Jake wrócił do domu dopiero wieczorem. Tuffy rzucił się go witać, przesadzając płot z głośnym ujadaniem. Maggie obserwowała całą scenę przez okno kuchenne.

- Ciebie też już oczarował - mruknęła pod nosem, kiedy na ganku Jake się nachylił i podrapał wyraźnie uszczęśliwionego psa za uchem.

- Tata, pies, ja... teraz kolej na Katy. Wszystkich omotasz.

Niebezpieczny czarodziej wsunął się cicho do kuchni.

- Gdzie Katy? - zapytał od progu.

- Ogląda telewizję. - Maggie wskazała głową w stronę bawialni.

- Jestem zbyt brudny, żeby cię przytulić, ale nie daruję sobie jednego szybkiego całusa - powiedział Jake i już był przy niej.

- Uspokój się, Jake. Katy może nas zobaczyć. Ja...

- Zamknął jej usta pocałunkiem. Pragnęła go, płonęła

i jasno zdawała sobie sprawę, że nie może mu paść w ramiona, a sobotnia noc to epizod bez dalszego ciągu. Jeszcze oszołomiona, cofnęła się o krok.

- Nie powinniśmy...

Jake nie spuszczał z niej oczu.

- Nie wiesz nawet, jak wspaniale wyglądasz.

- Dzięki. - Miała wrażenie, że jeszcze moment i utonie w jego niezgłębnym spojrzeniu. Zniknie z powierzchni świata. Nie będzie jej.

- Wezmę prysznic - poinformował ją Jake rzeczowo. Odprowadziła go wzrokiem i wróciła do przygotowywania kolacji. Czy trzeba mówić, że myśli miała zajęte czymś zupełnie innym?

Mniej więcej w godzinę później zasiedli do stołu. Jake nałożył sobie porcję pieczonego kurczaka, odsunął półmisek i zwrócił się do Katy:

- Mam dla ciebie niespodziankę. Huśtawka gotowa.

Katy podniosła głowę znad talerza i uśmiechnęła się szeroko.

- Powiesimy ją po kolacji?

- Katy, najpierw podziękuj, potem ewentualnie możesz prosić o więcej - napomniała córkę Maggie.

- Dziękuję bardzo - wyrecytowała posłusznie mała.

- Powiesimy ją po kolacji?

- Powiesimy - obiecał Jake.

Po kolacji Katy natychmiast wybiegła na podwórze, a Jake pomógł Maggie sprzątnąć ze stołu i pozmywać naczynia.

Kiedy po południu była w szpitalu u ojca, lekarz powiedział jej, że Ben może wrócić do domu już nazajutrz. Mieli przed sobą ostatnią noc, kiedy byli w domu sami, nie licząc, oczywiście, odznaczającej się mocnym snem Katy.

Nie mógł przepuścić takiej okazji. Wyjął Maggie talerze z dłoni i zaczął ją całować, zanim zdążyła zaprotestować. Niepotrzebnie obawiał się protestów. Odsunęła się od niego dopiero po długiej chwili, z trudem łapiąc oddech.

- Jeśli zaraz nie wyjdziemy przed dom, Katy po nas przybiegnie.

- Wcale nie masz ochoty wychodzić, widzę to - zaskpił Jake łagodnie. - Wystarczy spojrzeć ci w oczy.

- A nie mówiłam.

Jake zerknął w okno i zobaczył pędzącą przez podwórze Katy. Po chwili wpadła do kuchni.

- Czemu nie przychodzicie? - zawołała od progu. Maggie kończyła wkładać naczynia do zmywarki.

Odwróciła głowę i spojrzała na córkę.

- Poczekaj jeszcze moment.

Kiedy wyszli wreszcie na podwórze, Katy wskazała stary dąb.

- Tutaj ją powiesimy.

- Owszem. Trzeba tylko wybrać mocny konar, żebyś mogła swobodnie rozbijać huśtawkę. - Jake podskoczył i chwycił się takiego, który wydawał mu się najbardziej odpowiedniejszy. - Tutaj?

Katy przytaknęła z przejęciem i Jake zeskoczył na ziemię.

- Przyniosę huśtawkę.

Nie minęło wiele czasu i wszystko było gotowe.

- Siadaj, rozhuśtam cię - powiedział Jake, a kiedy Katy wznosiła się już wysoko w niebo, usiadł z Maggie na ławce i zaczął głaskać nie odstępującego go na krok Tuffy'ego.

- Pies cię uwielbia, Katy za tobą przepada. Na wszystkich rzucasz jakiś czar - Maggie wyartykułowała głośno swoje wcześniejsze myśli.

- I oby tak zostało - mruknął Jake. - Posiedzisz tu jeszcze trochę ze mną, kiedy położysz już Katy? - Chciał być z nią, pragnął tego. Nie mógł zapomnieć sobotniej nocy. Chyba nigdy już jej nie zapomni, pomyślał smutno.

Maggie milczała przez chwilę, wreszcie skinęła głową.

- Dobrze. Na ganku jest interkom. Gdyby Katy mnie potrzebowała, może zadzwonić.

Czekał na nią cierpliwie, zastanawiając się, czy Maggie położyła Katy i wróciła, tak jak obiecała. Szła w jego stronę gibka jak kot, oświetlona poświatą księżyca. Otworzył szeroko ramiona, chwycił ją i posadził sobie na kolanach, rozpuścił związane w koński ogon włosy.

- Od wczoraj minęły całe wieki. Ani mi się śni spać dzisiaj w hamaku. Przenoszę się na górę - oznajmił, nieświadomy chyba lekko absurdalnej gry słów.

Maggie wsunęła dłoń pod jego koszulkę i przeciągnęła palcami po nagiej skórze.

- Dobrze, Jake. Tata jutro wraca. Byłby zły, gdyby zobaczył, że nadal nocujesz w ogrodzie. Już zrobił mi wykład na ten temat.

Kiedy zaczął ją całować, zerwała się z ławki, przysunęła sobie krzesło ogrodowe i usiadła naprzeciwko Jake'a.

- Porozmawiajmy - powiedziała stanowczo.

- Proszę bardzo. O czym?

Maggie zaśmiała się.

- O czymkolwiek, co odwróciłoby twoje zainteresowanie od mojej osoby.

- Rozumiem. Powiedz mi w takim razie, jak wyglądają twoje plany na jutro.

- Około jedenastej pojedę z Katy po tatę.

- Chcesz, żebym pojechał z wami?

- Nie. - Chciała, oczywiście, że chciała, ale musiała panować nad swoimi uczuciami. Ile razy to sobie powtarzała? - Bardziej będziesz potrzebny tutaj - odpowiedziała stanowczo.

- Jak chcesz - zgodził się Jake bez wielkich oporów i się przeciągnął. - Jak skończę nowy koral, chciałbym przywieźć tu Czarta. Wieczorami mógłbym poświęcić mu trochę czasu. Może uda się go utemperować.

- Jesteś szalony, Jake. Nie chcę, żebyś teraz z kolei ty wyładował w szpitalu.

- Nic mi nie będzie. Codziennie do niego jeżdżę i dotąd nie miałem z nim kłopotu.

- Nie? - Maggie poderwała głowę. - Przecież on... - nie dokończyła zdania. - Właściwie czemu ja się dziwię? Jeb Stuart nie mógł się nachwalić, jaki jesteś świetny w układaniu koni. Tata też ma dobrą rękę, ale z Czartem nie mógł sobie poradzić. Chcesz, to go sprowadź, nie mam nic przeciwko temu. Ogrodzenie koralu będzie na tyle wysokie, że go nie przesadzi. Katy będzie mogła bawić się spokojnie na podwórzu i w ogrodzie.

- Dobrze, że nie masz chłopca. Takiego smyka na pewno korciłoby, żeby zaprzyjaźnić się z Czartem.

- Szybko wybiłabym mu to z głowy - prychnęła Maggie. - Słuchaj, kupiłam dwa telefony komórkowe. Jeden dla siebie, drugi dla taty.

- Dobry pomysł. - Jake położył jej dłoń na karku. Trudno skupić się na rozmowie, kiedy fantastyczny mężczyzna głaszcze dziewczynę po karku. Mimo tak oczywistych utrudnień brnęła jednak dzielnie dalej:

- Dopóki Ben nie zacznie wychodzić z domu, możesz używać tego drugiego.

Jake parsknął śmiechem.

- Całe życie unikałem telefonów, zegarków i innych sprzętów, które wedle powszechnej opinii mają ułatwiać życie, tymczasem tylko je komplikują. Dziękuję, na zdrowie nie narzekam, nikogo nie muszę wzywać na ratunek.

- Pomyśl, gdybyś miał telefon, mógłbyś natychmiast zawiadomić kogo trzeba o pożarze.

- Poddaję się. Jeśli chcesz, będę go woził w ciężarówce, ale to koniec ustępstw. Nigdy nie włożę czegoś takiego do kieszeni.

- Dlaczego? Dżinsy masz za obcisłe? - przekomarała się z nim Maggie.

- Nie podobają ci się moje obcisłe dżinsy?

- Uwielbiam je. - Powiedziała to takim tonem, że Jake jęknął z rozkoszy i objął ją ramieniem, ale natychmiast mu się wywinęła. - Uspokój się, kolego.

- A czego się spodziewasz, kiedy mnie cały czas prowokujesz?

- Wracajmy do tematu. Czułabym się lepiej, gdybym wiedziała, że masz przy sobie telefon.

- W porządku, Maggie - skapitulował, bawiąc się jej włosami.

- Pod koniec tygodnia umówiłam się na rozmowy z ludźmi, którzy odpowiedzieli na moje ogłoszenie. W sumie miałam dziesięć zgłoszeń, ale czterech chętnych od razu wyeliminowałam. - Dłoń Jake'a na moment znieruchomiała.

- To dobrze - powiedział. - Wasze ranczo potrzebuje rąk do pracy. Jeden człowiek wszystkiemu nie podola.

- Zawsze zatrudnialiśmy czterech, pięciu ludzi, ale ostatnio jakoś tak się ułożyło, że tata został sam.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wreszcie Jake zapytał:

- Czy twoje siostry mieszkały tu, zanim wyszły za
mąż?

- Nikogo z naszej rodziny nie ciągnęło nigdy
w świat. Opowiedz mi, gdzie byłeś, co widziałeś?

Jake zaczął opowiadać. Maggie chłonęła każde słowo,
zаслuchana w barwne relacje, głodna każdego szczegółu
z jego życia.

- Dokąd jechałeś, kiedy zauważyłeś pożar? - zapy-
tała, gdy skończył.

- Donikąd. Gdzieś w kierunku Oklahoma City. Mówi-
łem ci, że biorę tam udział w rodeo, ale nie miałem
żadnego konkretnego punktu docelowego.

- Nie czujesz się samotny?

- Oczywiście, że tak - Jake podniósł jej dłoń do ust
- ale nie potrafię długo usiedzieć w jednym miejscu.

- Teraz też tęsknisz już za wyjazdem?

- A jak myślisz? - Mocniej ścisnął jej dłoń. - Chodź
do mnie.

Nie musiał powtarzać dwa razy. Tym razem nie opie-
rała się czułym pieszczotom. Uwolniła się z objęć Ja-
ke^ po długiej, długiej chwili. Kiedy wstała i on się
poderwał.

- Chodźmy na górę. - Ciągłe na nowo zaskakiwało
go to, jak bardzo jej pragnie.

- Sobotnia noc to był wyjątek. Nie chcę się zako-
chać, cierpieć, tęsknić. Prędzej czy później wyjedziesz,
a ja zostanę sama. Wiem, że wyjedziesz.

Słowa Maggie sprawiły mu ból. Nie potrafił wyczy-

tać niczego z jej oczu, ale w głosie słyszał udrękę. Udrękę i determinację, która oznaczała, że Maggie nie zmieni raz powziętej decyzji.

Odgarnął z jej twarzy kosmyki włosów. Przeczesał je palcami.

- Nie mogę obiecać, że zostanę tu na zawsze.

- Nie proszę cię o to. Chcę ci tylko wyjaśnić, co postanowiłam.

- Maggie, daj mi tę noc, tę jedną noc. Ostatnią. Jutro wraca twój ojciec.

- Boję się. Jesteś mi coraz bliższy, coraz bardziej czuję się z tobą związana. Zakochałam się w tobie beznadziejnie, ślepo, do szaleństwa. Łamiesz mi serce.

Jake ujął jej twarz w dłonie.

- Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała. - Jemu też było niezwykle ciężko.

- Dlatego powiemy sobie dobranoc i każde pójdzie w swoją stronę, zachowując dobre wspomnienia. - Maggie wspięła się na palce i pocałowała Jake'a w policzek. - Pozwól mi odejść, proszę. Tak będzie najlepiej.

Patrzył za nią, jak idzie zdecydowanym krokiem w stronę domu i miał ochotę pobiec za nią, wziąć ją w ramiona, rozbroić pocałunkami.

- Uciekałem od miłości, bo bałem się cierpienia, a teraz cierpię... - mruknął do siebie i spojrzał na Tuffy'ego. - W co ja się wpakowałem, stary? - zapytał

przyjaciela, ale Tuffy, pies niezbyt biegły w zawłó-
ściach ludzkiej psychiki, zamerdał beztruosko ogonem.

W oknie Maggie zapaliło się światło.

- Powiniennem stąd wyjechać - monologował dalej
Jake, jakby sam siebie chciał przekonać do słuszności
tego kroku. Maggie znalazła już chętnych do pracy,
spośród sześciu kandydatów na pewno wybierze kogoś
odpowiedniego. Nic tu po nim. Spojrzał znowu na Tuf-
fy'ego. - Zostań, piesku, ja muszę się przejechać. Spró-
buję odnaleźć drogę powrotną do mojego dawnego
życia.

Maggie usłyszała ryk harleya i podeszła do okna.
Zdażyła jeszcze zobaczyć odjeżdżającego Jake'a. Ból,
który dręczył ją cały dzień, stał się nie do zniesienia.
Powinna być teraz w jego ramionach, kochać go i po-
zwolić, by on ją kochał.

Gorące łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Czy
wyjechał już na zawsze? Nawet jeśli nie, i tak przecież
wyjedzie. Tak wygląda jego życie. Czy cierpi, myśli
o niej? Wątpiła w to. Za bardzo kochał wolność.

Wyprostowała ramiona, otarła łzy i powiedziała so-
bie, że ból w końcu minie. Położyła się do łóżka, zgasiła
światło. Kiedy wreszcie po godzinie zaczęła zapadać
w niespokojną drzemkę, obudził ją odgłos harleya. Jake
jednak wrócił. Westchnęła z ulgą. Ostateczne rozstanie,
choć nieuniknione, jeszcze nie nastąpiło.

Następnego dnia Maggie dowiedziała się, że ojca
wypiszą ze szpitala dopiero w środę. I tak w środę

wczesnym przedpołudniem pojechała razem z Katy po Bena, a Jake ruszył na objazd rancza. Musiał dać paszę zwierzętom, uzupełnić zapas wody w poidłach. Ledwie otworzył drzwiczki ciężarówki, Tuffy usadowił się na miejscu pasażera i teraz wpatrywał się błagalnie w swojego nowego przyjaciela.

- No dobrze, możesz jechać ze mną, skoro tak strasznie ci na tym zależy - mruknął Jake, zapalając silnik.

Na zachodniej miedzy zauważył dużą wyrwę w płocie i zaklął na jej widok. Od kiedy zaczął pracować u Maggie, już po raz trzeci musiał naprawiać graniczne ogrodzenie. Ostatnim razem albo woły same je zniszczyły, albo skorzystały z okazji, w każdym razie weszły w szkodę i musiał zaganiać je z powrotem na ranczo.

Wysiadł z samochodu, wziął narzędzia i ruszył w stronę dziury. Dwa paliki, na których wspierały się poprzeczne żerdzie, leżały teraz na ziemi. Pognieciona trawa, wyraźnie odcisnięte ślady opon prowadzące w głąb rancza. Ktoś staranował drewnianą konstrukcję i wdarł się na teren Ałdenów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Potrzebny był mu koń. Klnąc pod nosem, wsiadł do ciężarówki, poczekał na Tuffy'ego i ruszył do domu po siodło i uzdę. Po kilkunastu minutach był z powrotem na łące. Włożył telefon komórkowy do kieszeni i osiodłał młodą kasztanekę. Ślady opon zaprowadziły go na pastwisko dla bydła. Brakowało sześciu sztuk. Tego właśnie się obawiał. Złodziej załadował woły na ciężarówkę i wywiózł zdobycz.

Jake wyjął telefon i wystukał numer szeryfa. Czeka-
jąc, aż ktoś zgłosi się po drugiej stronie, podjął decyzję. Nie wyjedzie, dopóki winny kradzieży nie zostanie ujęty. Powiedział szeryfowi, co się stało, umówił się z nim na rozmowę w domu, potem załatał dziurę w ogrodzeniu. Kipiał złością. Już trzeci raz naprawiał to ogrodzenie. Przypadek czy wandalizm? Bydło nie zniknęło oczywiście przypadkiem. I pożar też nie był dziełem przypadku. Dopiero teraz to zrozumiał.

Po południu, kiedy pracował przy koralu, Maggie przywiozła ojca. Ben schudł przez tych kilka dni. Twarz

miął wymizerowaną, ale usiłował nadrabiać miną. Wy-
siadłszy z pikapa, mocno uściśnął dłoń Jake'a.

- Dziękuję ci za wszystko.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł Jake gładko
i zwrócił się do Maggie: - Idźcie do domu, ja zabiorę
z samochodu rzeczy Bena.

- Dziadku, mam nową huśtawkę - pochwaliła się
Katy.

- Wspaniale, szkrabie. Założę się, że Jake ją zrobił.

- Aldenowie całą trójką ruszyli w stronę ganku, a Jake
zabrał z samochodu rzeczy Bena: ubranie, w którym
starszy pan trafił do szpitala, i niewielką torbę z przy-
borami toaletowymi.

W kuchni zastał Maggie samą, Ben odpoczywał na
kanapie w bawialni.

- Muszę z tobą porozmawiać. Mogłabyś wyjść ze
mną na podwórze?

W głosie Jake'a musiała zabrzmieć jakaś dziwna nu-
ta, bo Maggie się nachmurzyła.

- Za chwilę.

- Będę przy koralu.

Pojawiła się dopiero po dwudziestu minutach, ubrana
już po domowemu, w obcięte džinsy i koszulkę bez rę-
kawów.

- O co chodzi, Jake? - Podeszła tak blisko, że czuł
zapach jej perfum. - Coś się stało?

- Ktoś zniszczył ogrodzenie, dostał się na wasz teren
i ukradł sześć wołów.

- Nie! - Rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę domu. - Tata w żadnym wypadku nie może się o tym dowiedzieć.

- Przynajmniej nie w tej chwili. Rozmawiałem z szeryfem.

Zdumiał ją. Nie przypuszczała, że tak energicznie zajmie się sprawą. W końcu nie musiał. Nie miał wobec niej czy Bena żadnych zobowiązań. Przeciwnie, to oni od pierwszego dnia byli jego dłużnikami.

- Kiedy zobaczyłem dzisiaj, co się stało, zacząłem podejrzewać, że pożar nie wybuchł sam z siebie. Ktoś podłożył ogień. Najpierw podpalenie, teraz kradzież. Ktoś źle wam życzy.

- Ale dlaczego? - Maggie nerwowo pocierała ucho.

- Może wasz miły sąsiad chce wam dokuczyć? Może ma do was urazę, mści się? Zrobił na mnie wrażenie chorego faceta.

- A jeśli to przypadek? Sama już nie wiem. Todd Harvey też miałby powody mścić się na nas. - Nowy problem, pomyślała. Jakby ostatnio nie dość spadło na nią kłopotów. Przede wszystkim nie wolno dopuścić, żeby złe wiadomości dotarły do ojca.

. - Todd Harvey? Kto to taki?

Wzruszyła ramionami.

- Pracował u nas. Mieszka w Rayburn, małym miasteczku niedaleko stąd. Tata przyłapał go na kradzieży narzędzi i przepędził. Od tamtej pory jest na nas obrażony. To dość dziwna postać, ale trudno mi sobie wy-

obrazić, żeby podpalał nasze lasy czy kradł bydło. Jest zbyt słaby i tchórzliwy. Weldona też nie podejrzewam. Za dużo ma do stracenia, żeby decydować się na takie ryzyko. Posiada świetnie prosperujące ranczo. Po co mu nasze woły?

- W każdym razie w moim przekonaniu nie zrobił tego nikt obcy - powiedział Jake, kładąc Maggie dłoń na ramieniu. - Ktoś chce wam zaszkodzić. Szeryf Alvarez prosił, żebyś się zastanowiła, kto to mógłby być.

- Nie wiem. Nikt nie przychodzi mi do głowy. Tata bywa porywczy, ale nie ma wrogów. I bardzo cię proszę, nie wspominaj mu słowem o swoich podejrzeniach.

Jake zerknął na dom, odciągnął Maggie na bok, za ciężarówkę, i wziął ją w ramiona.

- Tak bardzo chciałbym ci pomóc. Nie wyjadę stąd, dopóki nie znajdziemy winnego.

A więc zostanie trochę dłużej! Co za radość! Ogromna radość i ogromna ulga. Miała przyjaciela, na którego mogła się zdać, który chciał z nią dzielić kłopoty.

- Dziękuję - szepnęła.

- Raz już zostawiłem swoich bliskich, a kiedy wróciłem, nie żyli. Drugi raz nie popełnię tego błędu.

Maggie objęła go i spojrzała mu w oczy.

- Przestań wreszcie obwiniać się za coś, na co nie miałeś najmniejszego wpływu. Byłeś wtedy dzieckiem i nic nie mogłeś zrobić.

Jake pokręcił głową.

- Powinienem był być wtedy przy nich. - Ujął twarz

Maggie w dłonie. - Obiecuję ci, że nie wyjadę, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Na te słowa łyzy zakreśliły się jej w oczach. I dlatego, że chciał zostać, i dlatego, że któregoś dnia i tak będzie musiała się z nim rozstać. Jake otarł jej łyzy z policzków.

- Nie płacz, skarbie. Złapiemy tego drania.

Masz ci los! Taka wzruszająca scena, a on zupełnie opacznie ją odczytał.

- Na litość boską, Jake! Ja nie dlatego płaczę. Płaczę, bo rozumiem, przez co musiałeś przejść. Boleję nad twoją tragedią i... nad sobą, kiedy pomyślę, że stąd wyjedziesz.

Objęła go i pocałowała, jakby chciała dać mu tą pieśszcotał pociechę w cierpieniu, sprawić, by chociaż na moment zapomniał o bolesnej przeszłości. Ale czy można wyprzeć ze świadomości dręczące wspomnienia? Jake z zapamiętaniem oddał pocałunek. Oderwali się od siebie dopiero po długiej chwili, z trudem chwytając oddech.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co ze mną wyprawiasz, kobieto - szepnął zduszonym głosem.

- To nic w porównaniu z tym, co dzieje się ze mną, kiedy trzymasz mnie w ramionach - przyznała otwarcie Maggie.

Serce, dusza, fizyczna bliskość, dla niej wszystko to stanowiło nierozdzielnał całość. Czy Jake zdawał sobie z tego sprawę? Być może.

- Jak to się stało, że los nas zetknął ze sobą, Maggie? Dziękuję mu za to. - Jake znowu ją objął i przytulił mocno. Przez moment stali tak, spleceni ze sobą, milczący. Pierwszy odezwał się on, tym razem jego głos zabrzmiał trzeźwo, rzeczowo. - Wracając do tematu dodam, że przez całe przedpołudnie zastanawiałem się nad tą sprawą. Kiedy już najmiesz kogoś do pomocy, będę spał w dzień, a w nocy objeżdżał ranczo. Mogę nadal korzystać z hamaka.

- Nie! Wykluczone - zachnęła się Maggie, ale tylko połowicznie uczestniczyła w konwersacji. Dłonie położyła na biodrach Jake'a i jej wprawiony w stan wrzenia umysł zapełniały obrazy tamtej sobotniej nocy. - Będziesz spał w domu. Kiedy będziemy wszyscy razem, nikt nie ośmieli się wtargnąć do środka. Tuffy będzie strzegł ganku.

- Tuffy, niezastąpiony obrońca. Ten pies ma tak samo mocny sen jak ty. Nie obudzi się nawet na sąd ostateczny.

Maggie parsknęła śmiechem i zaraz spoważniała.

- Wolę, żebyś był w domu, niż patrolował nocami teren. Przy tobie będę się czuć bezpieczniejsza.

Chciała odejść, ale wystarczyło, że spojrzała w oczy Jake'a, i znów była usidlona.

- Tak bardzo cię pragnę, Maggie. Z każdym dniem coraz bardziej. - Ile razy to powtarzał? Ile razy ona to powtarzała. Zakochani nie tylko nie liczą czasu, ale, jak się okazuje, i słów. Ich zasób ubożeje, za to magiczna

moc tych, które jeszcze się ostały w słowniku zakochanego, niepomiernie Wzrasta.

Nie zawsze, bo Maggie jednak wyzwoliła się z uścisku, z tej pułapki gorącej namiętności, co chytyła człowieka w swoje słodkie władanie.

- Naprawdę muszę już iść i sprawdzić, jak się czuje tata i co robi Katy. Jeśli przyjdzie mi do głowy, kto mógłby chcieć nam zaszkodzić, zadzwonię do szeryfa, ale na razie nie potrafiłabym wskazać nikogo takiego.

- Obiecuj mi, że nie będziesz się zamartwiać.

- Nie będę, dopóki ty tu jesteś - odparła i ruszyła w stronę domu.

Jake patrzył za nią, zaciskając z całych sił dłoń. Jeśli tak wygląda miłość, to okrutna z niej dama. A może okrutne było szarpiące trzewia wahanie: uciekać skoro świt, czy zapomnieć się i otworzyć na miłość?

Otworzyć się na miłość? Przerazała go ta myśl. Stała mu przed oczami rozpromieniona buzia Katy, czuł dotyk jej łapki ufnie wsuwającej się w jego dłoń - tak, tak, zdobył serduszko małej - i zatrwożył się. Rodzina. Prawdziwa rodzina. Dom. Odpowiedzialność. Dlatego, do diabła, tak trudno jest kochać!

Klnąc pod nosem, wrócił do pracy, ale praca nie przynosiła ulgi. Postać Katy zniknęła, na jej miejsce pojawił się obraz Maggie: jedwabista skóra, ciało jak toczona kość słoniowa.

Klął i pracował zaciekle, z furią atakował kolejne deski, paliki, żerdki; zamieniały się one w jego dłoniach

w drągi, pały, kije i stawały bronią przeciwko myśłom nęcącym, wabiącym, wciągającym w wir emocji. Uff!

Maggie płakała. Przyznała mu się, że płacze, bo wie, że on pewnego dnia odejdzie. .

Tego popołudnia skończył ogradzać koral i sprowadził Czarta.

- To twoje nowe mieszkanie. Przyzwyczaisz się - przemawiał do konia. - Zjrzę do ciebie po kolacji.

- Widzę, że Czart jest w koralu - zagadnął Ben, kiedy zasiedli w czwórkę przy stole. - Maggie mówiła mi, że chcesz się nim zająć i że ostrzegała cię przed nim. To bies prawdziwy, wierz mi, chłopcze. Same z nim kłopoty. Nikt nie wie, dlaczego jest taki dziki. I nikt też nie chce go kupić.

- Ja go kupię. Nie szukaj nabywcy. Spróbuję go okiełznać. Może mi się uda.

- W każdym razie my cię ostrześliśmy - westchnął Ben z rezygnacją, po czym zmienił temat: - Jutro wchodzi na ranczo ekipa budowlana, Maggie ma umówione spotkania z kilkoma kandydatami do pracy. Niedługo staniemy na nogi. Przydałby się deszcz, bo ziemia jest całkiem spalona od słońca - dodał jeszcze.

- Powinien spaść w najbliższych dniach - uspokoił go Jake i tak, na gospodarskich rozmowach, upłynęła im kolacja.

Miło było usiąść przed domem o wieczornej godzinie, zażyć ochłody po spiekocie letniego dnia.

- Dziękuję jeszcze raz, chłopcze, za twoją pomoc
- uśmiechnął się Ben, kiedy Jake usiadł koło niego w ogrodowym fotelu.

- Cieszę się, że mogłem się na coś przydać.
Alden wyciągnął z kieszeni złożony pasek papieru.

- Twoja pierwsza zapłata.

Jake rzucił okiem na czek i zmarszczył czoło.

- Pracowałem ciężko, ale nie aż tak. Nie mogę przyjąć takiej sumy. - Chciał zwrócić czek Benowi.

- Musisz przyjąć. Wybawiłeś nas z wielkiej opresji. Wiem, jak bardzo zaniedbałem gospodarstwo w ostatnich miesiącach. O pożarze już nawet nie wspomnę. I o moim zawale. Pomyśl, jak bym się czuł, leżąc w szpitalu i myśląc, że Maggie i Katy są tu zupełnie same? Nie, nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. Bierz pieniądze i koniec gadania. Lekarz zabronił mi się de-nerwować.

Jake z uśmiechem schował czek do kieszeni. Nie miał najmniejszego zamiaru go realizować.

- Dziękuję.

- To my ci dziękujemy. Nikogo w tym roku nie nająłem, bo nie mogłem znaleźć kogoś, komu mógłbym w pełni ufać i kto byłby naprawdę chętny do pracy. Jest coraz trudniej.

- Mógłbyś założyć hodowlę koni. To dochodowe przedsięwzięcie, jeśli ma się dobry materiał, a ty masz

piękne zwierzęta. Bodaj najpiękniejsze bieguny*, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Chciałem założyć hodowlę, ale straciłem jakoś zapła. Czart bardzo drogo mnie kosztował i co? Miał być wspaniałym reproduktorem, a okazał się prawdziwym utrapieniem.

Skrzypnęły drzwi i przed domem pojawiła się Maggie. Szła w ich kierunku.

- Nie zostałeś tu na stałe? Zająłbyś się hodowlą, układał konie...? - zapytał Ben i Jake, zaskoczony, uniósł głowę.

- Dziękuję za propozycję. Nie wiem... Zatrzymam się u was jakiś czas, ale potem ruszę w świat. - Nie był pewien, czy Maggie słyszała jego odpowiedź. Chyba nie, sądząc po jej pogodnym uśmiechu.

Resztę wieczoru spędzili na swobodnej pogawędce, a kiedy wreszcie powiedzieli sobie dobranoc, Jake poszedł do Czarta, a idąc, uśmiechał się na tę mimowolną grę słów.

Przez następne dni uważnie wypatrywał śladów kolejnego wtargnięcia na grunty Aldenów, ale nie dostrzegł nic niepokojącego. Weekend minął bez niepotrzebnych wstrząsów, z początkiem następnego tygodnia spadły długo wyczekiwane deszcze, przyroda odżyła, świat wokół się zazielenił.

Nocami, kiedy nie mógł zasnąć, Jake krążył po swoim pokoju i myślał o Maggie. Nie mógł wyobrazić sobie życia bez niej, a przecież wiedział doskonale, że ta kobieta nie rzuci rancza i nie pojedzie z nim w świat. Przede wszystkim nie zostawi ojca. Poza tym co miał do zaoferowania jej i Katy? Ciągłą wędrówkę od miejsca do miejsca? Lubił to i czekał, kiedy droga znowu go wezwie.

Czy kochał Maggie? Stała się jego prawdziwą przyjaciółką, najbliższym mu człowiekiem, bliższym nawet niż Jeb, którego uważał za najserdeczniejszego przyjaciela. Jest piękna. Pragnie jej, jak nie pragnął jeszcze nigdy żadnej kobiety. Kocham ją, przyznał w końcu, ale nic to nie zmieniło.

Wiedział, że nie mogą być razem, że z tej miłości nie powstanie trwały związek. Porozmawiaj z nią, szeptał jakiś głos wbrew wszelkim racjonalnym argumentom. Nie będziesz wiedział, dopóki nie spytasz. Przeczesał nerwowo włosy palcami. Czuł się jak tygrys w klatce.

Maggie stanęła przed lustrem i przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu. Jechała do Oklahoma City. Miała obejrzeć występ Jake'a na rodeo, potem planowali pójść na kolację ze Stuartami, którzy dawno już zapowiedzieli swoją obecność na pokazach.

Była tak podniecona, jakby wybierała się na randkę, a przecież nie czekała jej randka, tylko impreza rodzinna.

Zerknęła po raz ostatni w lustro, odrzuciła do tyłu rozpuszczone włosy i zeszła na doi, gdzie czekali już Ben, Katy i Jake.

Po przyjeździe na miejsce Jake zaprowadził Aldenów do łoży przy samej bandzie. Ledwie zajęli miejsca, poderwał się i zaczął machać do kogoś. Po chwili w łoży pojawił się Jeb z żoną i dziećmi.

- To Jeb, Amanda, mała Emily - Jake zaczął dokonywać prezentacji. - Powiedz, ile masz lat, Emy? - Dziewczynka pokazała trzy palce i przytuliła się do ojca. - A to Kevin, najstarsza latorośl, i Brad, twój rówieśnik, Katy. To natomiast jest Maggie Langford, jej ojciec, Ben Alden, i jej córeczka, Katy.

Jeb uśmiechnął się serdecznie i wyciągnął dłoń do Maggie.

- Jake się sprawdził? Jest taki, jak ci mówiłem przez telefon?

Maggie zerknęła na Jake'a i zaczerwieniła się.

- Tak - przytaknęła.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Maggie - przyszła jej w sukurs Amanda i obie wdały się w rozmowę niby stare przyjaciółki.

Panowie zniknęli: Jake i Jeb musieli przygotować się do występu, Ben chciał się przywitać ze znajomymi, którzy brali udział w rodeo.

- Próbowałam wyperswadować Jebowi ten wariacki sport, ale on kocha rodeo - mówiła Amanda. - Dzieciaki też je uwielbiają.

- I ja się wychowałam, kibicując tacie - przyznała Maggie, ale Amanda już zmieniła temat.

- Jake patrzy na ciebie w taki sposób, jak nigdy nie patrzył na żadną inną kobietę. Jeszcze go takim nie widziałam i już myślałam, że nigdy nie zobaczę.

Maggie wyraźnie się spieszyła, słysząc tę uwagę.

- Przepraszam - teraz spieszyła się Amanda.

- Daj spokój, nie uraziłaś mnie. Rzecz w tym, że nic z tego nie będzie. On ma swoje życie, ja swoje.

- Mnie też się tak wydawało, kiedy poznałam Jeba - zaśmiała się Amanda. - Jake mnie nie aprobował, wybijął Jebowi z głowy tę znajomość.

- Nie mogę uwierzyć. Jake ma w sobie tyle ciepła. Dlaczego miałby cię nie lubić?

- Chciał chronić Jeba. Uważał, że go skrzywdzę. Ale to stare dzieje. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Kiedy z głośników rozległa się zapowiedź kolejnego występu, dwaj przyjaciele podeszli do boksów, w których czekały już mustangi.

- Nie przypuszczałem, że doczekam tego dnia - mruknął Jeb.

- Słucham? - szarpnął się Jake, wywołując szeroki uśmiech na twarzy Jeba.

- Nie przypuszczałem, że kiedyś się zakochasz.

- A jednak. Szlag by to trafił!

Jeb spowaźniał w jednej chwili.

- W czym problem?

- Jakie życie ja jej mogę zaofiarować?

- Bardzo przyjemne, jeśli tylko zechcesz.

- Każę jej zarzucić tobolek na plecy, tak? - prychnął Jake.

- A dlaczego niby nie miałbyś zostać u nich? Jej ojciec cię lubi. To widać.

- Owszem, lubi, ale wiesz doskonale, że ja nie nadaję się do takiego życia. Nie potrafię.

- Skąd ta pewność? Nie zarzekaj się. Ludzie przechodzą najdziwniejsze przemiany. Popatrz na mnie.

Ktoś podszedł przywitać się i rozmowa się urwała.

Kiedy na arenie pojawił się Jake na rozszalałym mu-
stangu, Maggie wstrzymała oddech, zapomniała o bo-
żym świecie i mocno zacisnęła dłonie w pięści. Myślała
tylko o tym, żeby utrzymał się na grzbiecie konia, żeby
udało mu się ujarzmić zwierzę.

W końcu rozległ się gong i pełen uznania dla jeźdźca
ryk publiczności. Ostatecznie konkurencje wygrał właś-
nie Jake. Jeb zajął drugie miejsce, zdobywając tylko
o jeden punkt mniej od przyjaciela.

- Zawsze tak jest. Jeb twierdzi, że nigdy nie pokona
Jake'a - powiedziała Amanda z uśmiechem, a kiedy oby-
dwaj zawodnicy wrócili do łoży, nagrodziła męża całusem.

Obejrzelі jeszcze zmagania z bykami i na tym rodeo
się skończyło. Po wspólnej kolacji przyszła pora się
żegnać.

- Teraz rozumiem, dlaczego Jeb jest twoim najle-
pszym przyjacielem - powiedziała Maggie, patrząc za
wyjeżdżającym z parkingu samochodem Stuartów.

- Podobnie jak ty - szepnął Jake i ruszył za Benem i Katy w stronę pikapa.

W drodze do hotelu, w którym mieli zarezerwowane pokoje, panowie dzielili się opiniami na temat rodeo, oceniali umiejętności jeźdźców, wymieniali uwagi na temat zwierząt. Maggie w milczeniu wpatrywała się w szybę, w przesuwające się światła wielkiego miasta. Wieczór dobiegał końca.

- Kochanie, mam propozycję. Ja zostanę z małą, a wy wybierzcie się na tańce albo do kina. Ani ty, ani Jake nie ruszacie się z farmy, skorzystajcie więc z okazji, zabawcie się - odezwał się w pewnym momencie Ben, odwracając się do córki.

- Może Jake wcale nie ma na to ochoty! - Maggie była zła, że ojciec próbuje na siłę ją uszczęśliwić.

- Jake ma ochotę. Dzięki, Ben - odezwał się przedmiot rodzinnego konfliktu. - Znam świetnie miejsce. Pójdziemy tam, Maggie.

- Trudno, przegłosowaliście mnie - skapitulowała bez specjalnego oporu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po przyjeździe do hotelu położyła Katy spać.

- Na wszelki wypadek wezmę ze sobą komórkę, tato. Dzwon, gdyby coś się działo.

- Gdyby coś się działo, na pewno zadzwonię. Bawcie się dobrze, my sobie jakoś poradzimy. Katy śpi jak suseł. Nie martw się o nic i zmykajcie. Miłego wieczoru.

- Jesteś kochany - uśmiechnęła się Maggie. Jake czekał na nią w drzwiach. Na korytarzu otoczył ją ramieniem i ruszyli z powrotem do pikapa.

- Zaplanowaliście to sobie? - zapytała podejrzliwie, kiedy siedzieli już w samochodzie.

- Nie, przysięgam. Ben mnie zaskoczył, ale i ucieszył. Czego nie można powiedzieć o tobie. Prawie odmówiłaś.

Maggie zaśmiała się.

- Nie powinien był cię zmuszać.

- Rzeczywiście, musiał się strasznie napracować. - Jake ruszył z parkingu i po kilkunastu minutach byli na miejscu.

- Grają tu niezli muzycy i burdy rzadko się zdarzają
- zareklamował wybrany bar.

- Skąd tak dobrze znasz Oklahoma City?

- Stąd, że jestem singlem, uczestnikiem wszystkich możliwych rodeo i Jasiem Wędrowniczkiem.

- Zdziwiające jak na kowboja, który nie pija piwa.
Co gorsza, nie bywasz w takich miejscach sam.

- Na ten temat nic nie możesz wiedzieć. - Tu zniżył głos. - Przysięgam ci, że nigdy nie byłem tu z kobietą, której jedno błękitne spojrzenie rozpala we mnie nie-pohamowaną żądzę, przez którą od miesiąca nie mogę spać i która robi ze mną, co zechce.

Maggie zatrzymała się.

- To ja?

- A jakże! Nikt inny.

W głębi parkingu ktoś zagwizdał przeciągle, rozległy się głośne okrzyki męskiej zachęty oraz aprobaty, dopiero wtedy Maggie oderwała usta od ust Jake'a.

- Chodźmy, kochanie, zanim dopuszczę się zakłócenia porządku publicznego - mruknął Jake i pociągnął ją w stronę wejścia do baru.

Bawili się do drugiej w nocy. Kiedy w końcu wrócili do hotelu i wysiedli z windy na swoim piętrze, Jake nie miał zamiaru rozstawać się z Maggie.

- Wejdz do mnie na drinka - kusił. - Porozmawiajmy chwilę.

- Nie będzie nam przez to łatwiej.

- Może nie, ale bardzo cię proszę.

I tak Maggie znalazła się w pokoju Jake'a. Dosłownie i w przenośni przekroczyła próg; precz poszły wszelkie opory, pękły tamy, żar pożądania ogarnął kochanków.

- Och, Maggie... Zostań ze mną. Daj mi tych kilka godzin - szepnął Jake.

- Jak mogłabym ci się oprzeć - odszepnęła.

- Cały czas się opierasz. Nie wiesz, jakie udręki przeżywam...

- Wiem. Wiem aż za dobrze, Jake. Łamiesz mi serce. Ujął jej twarz w dłonie.

- Nie chcę cię zranić. Zrobię dla ciebie wszystko. Tylko o tobie myślę. Pragnę cię uszczęśliwić. Będziemy się kochać długo, bardzo długo i bardzo powoli.

I Jake dotrzymał obietnicy.

Kiedy Maggie wróciła nad ranem do swojego pokoju, miała uczucie, że teraz już na zawsze, ostatecznie rozstaje się z Jakiem.

Przez kilka następnych dni padało bez przerwy, a kiedy znowu wyszło słońce, ziemia się zazieleniła świeżą, soczystą zielenią. Ekipa remontowa pracująca na ranchu skończyła stawiać nową stodołę. Ben szybko odzyskiwał siły. Jake codziennie objeżdżał teren rancha, ale nie natrafił na nowe ślady intruzów; złodzieje bydlę więcej się nie pojawili.

Chociaż życie w domu Aldenów wracało do normy, Jake nie spieszył się z wyjazdem.

Od tamtej nocy w Oklahoma City chodził zupełnie rozbity, na niczym nie mógł skupić myśli, bezustannie się mylił, o czymś zapominał, wszystko leciało mu z rąk. Jechał teraz pikapem, przed siebie, nie widząc właściwie drogi i nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza.

O dziwo, dotarł jakoś do starego, wymagającego napraw wiatraka, wyjął narzędzia i zabrał się do pracy. Koło południa zrobił sobie krótką przerwę.

- Kocham ją, chcę z nią być - mruknął, ocierając pot z czoła. - Powiedz jej to, dowiedz się, co myśli - monologował dalej. - Niech podejmie decyzję. Ba! Wiedział doskonale, co usłyszy; Maggie nie opuści rodzinnego domu.

Rozważał wszystkie możliwości. Nazajutrz miał jechać do miasta po drut i świece do pikapa. Wejdzie przy okazji do jubilera. Owszem, wejdzie. Po czym zostanie z pierścionkiem, pamiątką pewnych planów.

- Niech to szlag! - warknął i ze zdwojoną energią zaatakował wiatrak.

Wtem poczuł na twarzy ciepły jęzor. Tuffy!

- A ty skąd się tu wziąłeś, kolego? Nie za daleko się wypuściłeś od domu? Gdybym ja był tak rozpieszczany, jak ty, siedziałbym w czterech ścianach, na krok się nie ruszył. - Tuffy pomachał radośnie ogonem. - Chcesz, żebym cię odwiózł do domu, he? W takim razie musisz poczekać, aż skończę robotę.

Jake pojechał do miasta dopiero w połowie września. Załatwił, co miał do załatwienia, i postanowił pójść do jubilera. Krążąc między gablotami, zastanawiał się, co pocznie, jeśli Maggie nie przyjmie pierścionka.

- Piękny klejnot - pochwalił jego wybór sprzedawca, kiedy Jake poprosił o pokazanie małego arcydzieła z dwukaratowym brylantem.

- Rzeczywiście - przytaknął nieco burkliwie. Jeszcze nigdy, przy żadnym zakupie, nie wahał się tak długo. Sprzedawca usunął się dyskretnie na bok i czekał cierpliwie, a Jake obracał pierścionek w palcach. Czy zwleka, bo boi się, że Maggie odmówi, czy też nie jest pewien własnej decyzji? Nie, bzdurne pytanie. Przecież ją kocha. Tylko ją. Jedyną. Zaklął pod nosem i przywołał sprzedawcę.

- Tak, proszę pana?

- Wezmę ten pierścionek - oznajmił stanowczo.

- Doskonały wybór. Pani będzie na pewno zachwycona.

Jake wcale nie był o tym przekonany.

Maggie położyła się bardzo późno, a właściwie należałoby powiedzieć, bardzo wcześnie. Do trzeciej siedziała z Jakiem w ogrodzie, rozmawiali i kilka godzin minęło nie wiadomo kiedy. Wreszcie powiedzieli sobie dobranoc, ale cały czas czuła jego obecność. Był blisko, w swoim pokoju, niemal za ścianą.

Nie mogła usnąć, myślała tylko o jednym, jednego

pragnęła: znaleźć się w jego ramionach. Z każdym dniem oddalał się coraz bardziej, traciła go nieuchronnie, nieodwołalnie. Gdyby tylko pozwolił wreszcie zablźnić się starym ranom, nie rozpamiętywał swojego cierpienia, nie żył w ciągłym poczuciu winy. Ba! Płonne nadzieje. Zdawała sobie doskonale sprawę, że nawet gdyby tak się stało, gdyby Jake przestał bronić się przed miłością i odważył się zaangażować, to nigdy nie zmieni swojego stylu życia. Któregoś dnia wyjedzie, a ona i Katy będą musiały zostać tu, gdzie ich miejsce.

Maggie wstała i podeszła do okna. Widok pustego hamaka przywołał natychmiast wspomnienia pierwszej nocy, którą Jake spędził na ranchu. Niemal od razu zakochała się w nim ślepo, beznadziejnie, do szaleństwa. Opadła na fotel, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Czy kiedykolwiek pogodzi się ze swoim nieszczęściem? Czy uda się jej zapomnieć o bólu? Nie wiedziała, ile czasu minęło, gdy wtem coś przykuło jej uwagę. Ledwie widoczny zarys sylwetki. Pod osłoną ciemności ktoś przemykał w stronę garażu.

Mało prawdopodobne, by był to Jake, a nowi pracownicy, których udało się jej w końcu najać, mieszkali w miasteczku i na noc wracali do domów.

Zdecydowana przyłapać intruza, zerwała się z fotela, ubrała błyskawicznie i zbiegła na dół. Ze schowka w holu wyjęła strzelbę Bena.

Na ganku omal nie potknęła się o smacznie śpiącego

Tuffy'ego. Na podwórzu zwolniła kroku i zaczęła skradać się ostrożnie w kierunku garażu. Ekipa budowlana zakończyła pracę zaledwie kilka dni wcześniej. Stał nowy garaż, nowa stodoła, udało się przywrócić obieście do dawnego stanu i teraz Maggie była niemal pewna, że nieproszony gość przyszedł podpalić z takim trudem wzniesione zabudowania.

Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. W ciszy doszedł ją stłumiony odgłos, coś jak brzęk metalu o metal. Podkraśla się kilka kroków bliżej i dojrzała nachylonego mężczyznę zaglądnącego pod maskę pikapa.

Jake nie mógł usnąć. Wstał z łóżka i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Podeszedł do okna, gdy wtem dojrzał jakiś ruch, mignięcie pośród atramentowej nocy. Maggie! Jasne włosy wyraźnie odcinające się na tle czarnej ściany garażu. Maggie ze strzelbą w dłoni!

- Cholera! - błyskawicznie wciągnął dzinsy i wybiegł z pokoju.

Nie miał pojęcia, co Maggie robi na podwórzu, wiedział tylko, że dzieje się coś złego. Bał się o nią. Szarpnął drzwi kuchenne, chciał krzyknąć, ale pohamował się w ostatniej chwili, mógłby tylko pogorszyć sytuację.

Znowu ją dojrzał, ale w sekundę później zniknęła mu z oczu za węglem garażu. Rzucił się w tamtą stronę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Maggie uniosła strzelbę i wycelowała ją w mężczyznę nachylonego nad samochodem. Była zbyt wściekła, żeby się bać. Na myśl o tym, że ktoś zakradł się do jej domu w najgorszych zamiarach, ogarnęła ją furia.

Mężczyzna wyprostował się, odwrócił powoli i jednym skokiem przypadł do niej. Nie wiedziała nawet, kiedy ją powalił i wytrącił broń z ręki. Wszystko trwało ułamek sekundy. Poczowała tylko silny ból w ramieniu, krzyknęła, a kiedy poderwała się z ziemi, zdołała już tylko dostrzec plecy umykającego napastnika.

Usłyszała, że ktoś do niej podbiega od tyłu, przeraziła się, że intruz nie był sam, i odetchnęła z ulgą na widok Jake'a.

- Dzwon do szeryfa! - krzyknął, mijając ją w pościgu za mężczyzną.

Podniosła z ziemi strzelbę i pobiegła do domu. Drżącymi palcami wystukała numer i w kilku zdaniach poinformowała o wtargnięciu.

- Niech tylko nie włączają syren, proszę - kończyła.
- Mój ojciec niedawno wrócił ze szpitala.

- Maggie, tu Ida Holmes. Powiem chłopcom, żeby nie włączali syren.

- Dzięki, Ido.

Rozłączyła się i wybiegła do ogrodu. Bała się o Jake'a, nie mogła się doczekać przyjazdu patrolu, miała wrażenie, że minuty ciągną się w nieskończoność, wreszcie dojrzała migające między drzewami światła policyjnych kogutów.

Przy bramie prowadzącej na podwórze zatrzymały się dwa samochody. Z pierwszego wysiadł szeryf Alvarez.

- Gdzie on jest? - zapytał bez zbędnych wstępów.

- Przyląpałam go koło garażu. Rzucił się na mnie, przewrócił i uciekł. Jake pobiegł za nim - Maggie wskazała kierunek.

- Wracaj do domu i pozamykaj wszystkie drzwi. - Szeryf dał znak trzem policjantom, którzy wysiedli z wozu patrolowego, i cała czwórka z bronią gotową do strzału ruszyła na poszukiwanie nocnego gościa.

Maggie weszła do domu, odłożyła strzelbę Bena do schowka, po czym, wbrew poleceniom Alvareza, wyszła na podwórze i usiadła na krześle ogrodowym. Czekwała w napięciu na wynik pościgu, wierząc, że intruz zostanie schwytany.

Był wysoki, tyle wiedziała. Jego twarzy nie potrafiłaby opisać. Minuty mijały, a ona niepokoila się coraz bardziej. Modliła się w duchu, żeby Jake wrócił bezpiecznie, aby nic mu się nie stało. Tylko to było

ważne, przestało jej już zależeć na ujęciu złoczyńcy. Spojrzała w stronę domu. Na szczęście Ben i Katy spali spokojnie, nieświadomi dramatycznych wydarzeń. Zacisnęła nerwowo dłonie: gdzie jest Jake, na litość boską?

Mijały kolejne, długie jak wieczność minuty. Wreszcie dojrzała w mroku sylwetkę Jake'a i odetchnęła z ulgą. Wracał też szeryf i jego policjanci. Prowadzili mężczyznę. A więc jednak udało się go schwytać.

Jake podbiegł do niej, objął ją, przytulił. Miał zadrapany policzek, rozciętą skórę na ramieniu, ale żadnych poważniejszych obrażeń.

- Nic ci się nie stało? - zapytał niespokojnie.

- Nie.

Jeden z policjantów włączył krótkie światła w wozie patrolowym. Gwałtownie odwróciła głowę w tamtą stronę i w blasku reflektorów dojrzała wyraźnie twarz intruza.

- Weldon! - krzyknęła zdumiona.

Sąsiad rzucił jej wściekle, pełne nienawiści spojrzenie. W rozdartej, splamionej krwią koszuli, z umazaną ziemią twarzą, rozciętą wargą i podbitym okiem wyglądał żałośnie: w niczym nie przypominał groźnego bandyty, jakim wydawał się Maggie jeszcze kilkanaście minut temu. Przyglądała mu się zdumiona.

- Dlaczego? - Tyle tylko zdołała powiedzieć.

Policjanci wepchnęli Higgensa do wozu, a Alvarez podszedł do Maggie i Jake'a.

- Ten drań przyznał się Jake'owi, że to wszystko jego sprawka.

- On podpalił nasze łąki? - Z trudem mogła w to uwierzyć. Sąsiad, człowiek, którego znała tyle lat...

Alvarez skinął głową.

- Kiedy wyjdzie z więzienia, a mam nadzieję, że nieprędko się to stanie, będzie musiał wynieść się stąd. Ludzie już się o to starają. Nikt nie będzie chciał go mieć za sąsiada.

- Dlaczego to zrobił? - powtórzyła Maggie.

- Postaramy się znaleźć odpowiedź na to pytanie

- mruknął szeryf, zerkając w stronę wozu patrolowego, gdzie między dwoma mundurowymi siedział Weldon.

- Będiesz musiała złożyć zeznanie, Maggie. Przyśle kogoś z samego rana.

- Dziękuję, że przyjechaliście tak szybko.

- Kiedy na nas czekałaś, pewnie wydawało ci się, że trwa to całą wieczność - Alvarez uśmiechnął się, jakby chciał rozładować w ten sposób napięcie. - Mówiłaś, że rzucił się na ciebie i obalił na ziemię. Bardzo cię poturbował?

- Nie. Nic mi nie jest.

- Dziękuję, Jake. To twoja zasługa, że go złapaliśmy.

- Pożegnał się i obydwie wozy po chwili odjechały.

Kiedy zniknęły za zakrętem drogi, Maggie zwróciła się do Jake'a:

- Chodź do domu, opatrzę ci to rozcięte ramię i prze-myję zadrapania. Nic ci się poza tym nie stało?

- Nie. A ty jak się czujesz?

- Jestem trochę obolała, ale poza tym wszystko w porządku.

- Gdzie strzelba?

- Na swoim miejscu, w schowku w holu.

Jake położył Maggie dłonie na ramionach.

- Wuj Sam zrobił ze mnie żołnierza - zaczął surowym tonem. - Przrzeknij mi, że następnym razem, oby nie było następnego razu, przybiegniesz do" mnie, zamiast uganiać się po nocy z bronią w rękę za bandytami. Czy jasno się wyrażam?

Maggie wpatrywała się w niego zdumiona, ale zdumienie szybko przeszło w irytację.

- Po pierwsze, następnym razem będziesz zapewne setki mil od tego miejsca. Po drugie, nie miałam czasu myśleć i reagowałam odruchowo. Zobaczyłam jakąś sylwetkę koło garażu i chciałam powstrzymać intruza. To wszystko.

- Następnym razem przyjdiesz do mnie - powtórzył Jake kategoriycznym tonem.

- Postaram się zapamiętać - mknęła i ruszyła w stronę domu. Jake ruszył za nią. - Dlaczego Weldon to zrobił? - powtórzyła.

- Powiedział mi. Chodziło o twój pensjonat. Maggie przystanęła.

- W czym mu przeszkadzał pensjonat, którego w dodatku jeszcze nie ma?

- Bał się, że po okolicy zaczną się kręcić letnicy, że

będą zakłócać mu spokój, wchodzić na jego teren. Poza tym nie mógł pogodzić się z tym, że go odprawiłaś z kwitkiem, kiedy próbował umówić się z tobą.

Pocierając w zamyśleniu czoło, Maggie weszła na ganek. Stojąc w drzwiach, obejrzała się jeszcze, omiotła spojrzeniem nowe zabudowania.

- Jak można aż tak nienawidzić? Z tak idiotycznych, błahych powodów igrać z ludzkim życiem? Tata mógł przecież zginąć w stodole, gdybyś go stamtąd nie wyniósł. Weldon jest szalony. Nic nie usprawiedliwia jego postępów.

- Nienawiść potrafi zupełnie zaślepić człowieka, ale nie mówmy o tym. Już po wszystkim, Maggie. Higgins trafi do więzienia, a potem z pewnością wyjedzie stąd i więcej go nie zobaczysz.

- Skąd wiedziałeś, że jestem na podwórzu? - zapytała, kiedy już w pokoju Jake'a zaczęła opatrywać jego Skaleczenia.

- Zobaczyłem cię przez okno.

- Nie mogłeś usnąć?

- Nie, nie mogłem - mruknął przez zaciśnięte zęby.

- Ja też nie. - Spojrzeli sobie głęboko w oczy i Maggie na moment wstrzymała oddech, bo tyle było we wzroku Jake'a tłumionej namiętności. I powagi. Powoli ujął jej twarz w dłonie.

- Powtarzam, Maggie, nigdy więcej żadnych pogoni za bandytami.

- Nie sądzę, żeby sytuacja się powtórzyła. W końcu złapali Weldona.

- Wszystko jedno! Masz mi obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Od tego ja tu jestem.

Maggie znowu się zirytowała.

- Jesteś, jesteś - sarknęła. - Niedługo cię nie będzie.

- Na razie jestem.

- Dobrze. Obiecuję, że następnym razem to ty będziesz biegał ze strzelbą po podwórzu. Zadowolony?

- Nie rozumiesz, co się ze mną działo, kiedy zobaczyłem cię przez okno? - Objął ją delikatnie. - Na stłuczenia najlepsza jest gorąca kąpiel. Chodź - szepnęła, ściągając z niej T-shirt.

- Jake, nie...

- Tak. Od razu poczujesz się lepiej. Zaufaj mi. Tyle razy spadałem z konia, że w kwestii stłuczeń jestem ekspertem. - Tak przemawiając, rozpiął jej dżinsy, potem zaatakował z pasją własną odzież i Maggie ani się obejrzała, jak stali oboje pod prysznicem.

- Co ty ze mną wyczyniasz? - szepnęła i pocałowała Jake'a.

Kiedy zaczęli się kochać, zapomniała o stłuczeniach i zadrapaniach. Kochali się w strugach gorącej wody, kochali się w łóżku, niemal do świtu, w zapamiętaniu, niczym szaleńcy. W końcu trzeba było jednak wrócić do rzeczywistości.

- Już piąta - szepnęła Maggie, zerkając na zegarek.
- Mamy jeszcze mnóstwo czasu, zanim twój ojciec i Katy się obudzą.

Ale Maggie już wstała.

- Muszę wracać do swojego pokoju - oświadczyła kategorycznie, odgarniając włosy z twarzy i zaczerwieniła się; Jake pochłaniał ją wzrokiem.

- Nie patrz tak na mnie.

- Jesteś piękna. Zaraz wciągnę cię z powrotem do łóżka, czarodziejko.

- Nawet o tym nie myśl.

Jake jednym skokiem znalazł się przy drzwiach, zablokował jej drogę odwrotu.

- Pocałuj mnie.

Nie musiał długo prosić. Zarzuciła mu dłonie na szyję. W swoim pocałunku zawarła całą namiętność, całe pożądanie, jakie w niej budził. Chciała nim zawładnąć, zdobyć na zawsze jego miłość. Jake objął ją mocno, przytulił do siebie.

- Idę - szepnęła i uciekła do swojego pokoju, nie obejrzawszy się za siebie. Jeśli zostałyby chwilę dłużej, znaleźliby się znowu w łóżku.

Przed zaśnięciem myślała jeszcze o wydarzeniach mijającej nocy. O dziwo Weldon, jego wrogość, paranoiczna nienawiść, postęпки zagrażające bezpieczeństwu domu Aldenów, wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Liczył się tylko Jake, pochłaniał ją bez reszty. Jak długo jeszcze zostanie na ranczu?

- Kocham cię - szepnęła i łzy napłynęły jej do oczu, gorzkie łzy nieodwzajemnionej miłości. Płakała nad sobą i nad Jakiem, nad jego samotnym, pustym życiem.

Bezradna, wtuliła głowę w poduszkę i zaczęła bić pięścią w materac.

Wstała wcześniej, po krótkiej, niespokojnej drzemce. Ubrała się i zeszła na dół, by przygotować śniadanie.

W kuchni krzątał się już Jake. Zdażył już włączyć ekspres do kawy, na stole stały szklanki napełnione sokiem pomarańczowym, on sam mieszał coś w garnku pyrkoczącym na kuchence.

- Dzień dobry. Co gotujesz? - zagadnęła Maggie, podchodząc bliżej.

- Płatki jęczmienne. Mam nadzieję, że ładnie zjecie wszystko.

- Zjemy. Dzięki.

- Twój ojciec zmartwi się, kiedy usłyszy nowinę.

- Czym mam się zmartwić? - zapytał Ben, wchodząc do kuchni.

- Mówisz, że ja mam twarde sen, a ostatniej nocy przespałem mnóstwo atrakcji.

- Naprawdę? Dzień dobry, Jake. Co gotujesz?

- Płatki jęczmienne. Już podaję. Siadajcie do stołu. Ben wychylił jednym haustem swój sok pomarańczowy.

- Co takiego przespałem?

- Mieliśmy w nocy niezapowiedzianą wizytę. Jake schwycił naszego gościa. - Maggie przemilczała fakt, że to ona pierwsza wybiegła na podwórze. - Zadzwo- niłam do Alvareza, przyjechał z kilkoma chłopcami i złapali intruza. Okazało się, że to Weldon.

Ben opuścił łyżkę i zaklął głośno.

- Tylko się nie denerwuj, tato, bo podskoczy ci ciś- nienie. Policja zrobiła swoje, Weldon stanie przed są- dem.

- Przestań się ze mną cackać, Maggie. Nie umrę od kilku przekleństw pod adresem Higgensa. To on podło- żył ogień?

- Trochę go przycisnąłem i przyznał się do wszyst- kiego - powiedział Jake. - Przeszkadzało mu, że Mag- gie chce otworzyć pensjonat, bał się tłumu turystów. Że niby będą zakłócać mu spokój. Wyobrażasz sobie po- dobną bzdurę?

- Chory dureń! - rzucił Ben porywczo. - Weldon! Nigdy go nie lubiłem, ale nie myślałem, że jest takim draniem.

- Inny powód to ten, że Maggie dała mu kosza - do- dał Jake.

Ben parsknął z pogardą.

- No mówię przecież, chory dureń! Powinien się leczyć. Niech go diabli! Dlaczego mnie nie obudziłaś?
- zwrócił się do Maggie.

- Nie widziałam powodu. Po co miałabym zrywać cię w środku nocy?

I pomyśleć, że przyjechał szeryf, jego chłopcy, a ja smacznie spałem. A właściwie to czego tu Weldon szukał?

- Nie wiem - powiedziała Maggie. - Zglądał pod maskę pikapa...

- Powiedziałem o tym Alvarezowi - przerwał jej Jake. - Ma przyjechać zaraz po śniadaniu i obejrzyć samochód.

- Zupełnie zapomniałam mu o tym powiedzieć - przyznała Maggie.

- A ja nie - powiedział Jake. - Poczekam na Alvara, bo chciałbym z nim porozmawiać.

Po śniadaniu Jake i Ben poszli do stodoły.

- Gdzie trzymasz strzelbę, Ben? - zagadnął Jake po drodze, chociaż znał już odpowiedź.

- W schowku w holu, na górnej półce, żeby Katy nie mogła się do niej dostać. - Ben spojrzał uważnie na Jake'a. - A skąd wiesz, że mam strzelbę?

- Maggie pierwsza dojrzała Weldona, wzięła twoją strzelbę i wyszła na podwórze. Przypadkiem ją zobaczyłem ze swojego okna, natychmiast wybiegłem za nią.

- Cholera! Maggie oszalała. Tak się narażać... To wszystko przez to, że ciągle jestem do niczego.

- Z każdym dniem nabierasz sił - pocieszył go Jake. - Powiedziałem Maggie, że ma przyjść do mnie, gdyby podobna sytuacja się powtórzyła, ale byłoby lepiej, gdybyś zabrał strzelbę z holu.

- Jasne. Od dzisiaj będę ją trzymał w swoim pokoju. I na wszelki wypadek wyjmę naboje.

- Zrób tak, chociaż mam nadzieję, że nikt już nie będzie myszkował po nocach wokół domu.

- Co za sukinsyn z tego Weldona. Czego chciał?

- Czego chciał? Obrzydzić wam życie. Alvarez twierdzi, że po wyjściu z więzienia ten drań będzie musiał się stąd wynieść, bo nikt nie zechce mieć go za sąsiada.

- Dzięki, Jake. Znowu uratowałeś nas z opresji.

- Chciałbym zabrać Maggie na kolację w sobotę wieczorem...

- Oczywiście, jedźcie. Zostanę z Katy, a gdyby Maggie uważała, że nie poradzę sobie z małą, zawsze może zawieźć ją do Patsy. Albo jeszcze inaczej, Patsy chce, żebym przyjechał do niej na kilka dni. Zabiorę Katy i pojedziemy do Stillwater. Maggie nie będzie musiał się martwić ani o Katy, ani o mnie.

- Dzięki, Ben.

- Jake, zawołaj mnie, jak pojawi się Alvarez. Chciałbym być przy tej rozmowie.

- Oczywiście.

Szeryf pojawił się godzinę później i od razu zajął się samochodem.

- Drań przeciął przewody hamulcowe - oznajmił w końcu, prostując się.

- Chciał nas zabić - mruknął Ben głucho, a Jake zaklął siarczyście.

Maggie codziennie używała pikapa. Maggie... Gdyby Jake mógł teraz dostać Weldona w swoje ręce, sam wymierzyłby mu sprawiedliwość.

- Niech to szlag! - rzucił przez zęby. - Musimy powiedzieć Maggie.

- Idź, powiedz jej - poprosił Ben i zwrócił się do Alvareza: - Jakie postawiono mu zarzuty?

Alvarez zaczął wyliczać, Jake tymczasem ruszył w stronę domu. Był wściekły, wściekły, że z Maggie i Katy mogło stać się coś strasznego, wściekły, że musi jej powiedzieć, co zamierzał Weldon.

Znalazł ją w pokoju Katy, zaplatała małej włosy. Stał przez chwilę w drzwiach, przyglądając się matce i córce. Rodzinna scena, różowe wnętrza, misie, lalki... Poczł się trochę nieswojo.

- Co robicie? - zapytał bez sensu.

- Będę miała warkocz, jak mama - oznajmiła Katy z dumą i dziwne uczucie obcości natychmiast zniknęło. Jake uśmiechnął się ciepło.

- Popatrz, Jake, moja lalka też ma warkocz - pochwaliła się Katy.

Jake podszedł i wziął lalkę do ręki.

- Śliczna lalka, ale nie tak śliczna jak twoja mama. Katy zmarszczyła śmiesznie nos na to stwierdzenie i zeskoczyła z krzesła.

- Mogę iść do dziadka? - zwróciła się do matki.

- Możesz.

- A lalkę też mogę wziąć?

- Tak. - Maggie patrzyła z uśmiechem, jak mała wybiega w podskokach z pokoju.

- Nie przyszedłeś tutaj bez powodu - powiedziała, kiedy Katy zniknęła.

- Owszem. To, co powiem, nie ma już znaczenia, bo Weldon siedzi pod kluczem, niemniej twój sąsiad zdążył przeciąć przewody hamulcowe w pikapie. Gdyby ktoś wsiadł do samochodu... Nie muszę ci wyjaśniać, jak by się skończyła taka jazda.

Maggie krew odpłynęła z twarzy.

- Niech go diabli - zaklął Jake. - Już po wszystkim, Maggie. Nie myśl o tym. Ta historia to zamknięty rozdział.

- Masz rację, ale dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

- Poprosiłem Bena, żeby schował strzelbę - dodał Jake.

- Zrobiłeś to! Jak mogłeś? Nie masz prawa wtrącać się w moje życie. Za kilka miesięcy nie będzie tu po tobie śladu.

- Może tak, może nie, ale dopóki jeszcze jestem, trochę się powtrącam, skarbie. - Jake podszedł do Maggie i objął ją w pól. - Jak twoje zębra? Bardzo bołą?

- Owszem.

- Ale nie na tyle, żeby nie pójść ze mną w sobotę na kolację? Ben spędzi weekend u Patsy i obiecał wziąć z sobą Katy.

- Wszystko już zaplanowałeś, tak? A ja dowiaduję się ostatnia.

- Musieliśmy ustalić kilka detali, zanim mogłem cię zaprosić. Gdybyśmy tego nie zrobili, odmówiła-byś, bo Katy, bo musisz zostać w domu, bo znalazła-byś dziesięć innych powodów... Przyjmij zaproszenie, Maggie.

- Jak mogłabym odmówić?

Kiedy Jake zaczął ją całować, przywołała go szybko do porządku.

- Wiem, jak kończą się nasze pocałunki. W łóżku. Uciekaj stąd szybko, zanim zrobimy głupstwo.

- Pamiętaj, w sobotę o szóstej. Im wcześniej zaczniemy wieczór, tym lepiej - Jake uśmiechnął się szeroko i dotknął lekko jej szyi. - Tętno ci podskoczyło - zauważył. - Podniecam cię. - Zniżył głos. - Ale ty podniecasz mnie jeszcze bardziej.

Tak bardzo chciał wziąć ją teraz w ramiona, ale wiedział, że nie może: Ben, Katy, praca... Musi panować nad sobą, nie wolno mu dać ponieść się uczuciom. Czas wracać na dół.

Tego wieczoru po raz pierwszy wyjechał na Czaracie poza obręb koralu. Panował nad koniem, był świadom każdego jego ruchu, ale myślał cały czas o pierścionku ukrytym w szufladzie szafki nocnej w jego pokoju.

Nie przypuszczał, by Maggie powiedziała „tak”, ale jeśli ona to zrobi, czy tego właśnie pragnął? Jak

wyglądałoby ich wspólne życie? Miałoby być niekończącą się wędrówką z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, od rodeo do rodeo? Czy miał prawo żądać, żeby zostawiła Bena? Jake z kolei nie wyobrażał sobie, że miałby zamieszkać na ranczu. A może? Jedno wiedział na pewno: musi poprosić Maggie, żeby została jego żoną.

W sobotę wieczorem Jake wziął prysznic, włożył białą koszulę i pachnące świeżością dżinsy. Ben i Katy pojechali do miasta. Maggie czekała już na dole. Miał ją teraz tylko dla siebie. Pójdą na kolację. Pragnął, by ten wieczór był dla Maggie wyjątkowy, by na zawsze pozostał jej w pamięci.

Wyjął pierścionek z szuflady, otworzył pudełeczko i spojrzał na skrzący się brylant. Bał się, po prostu bał się, jak Maggie zareaguje. Zawinał klejnot troskliwie w bibułkę i schował do kieszeni, nadal niepewny, czy go w końcu ofiaruje ukochanej kobiecie.

Znalazł ją w kuchni, rozmawiała właśnie przez telefon z Katy. Ogarnął jej sylwetkę pełnym uznania spojrzeniem. W prostej, podkreślającej zgrabną figurę obcisłej czerwonej sukni, czerwonych pantoflach na wysokich obcasach wyglądała ślicznie. Odkładając słuchawkę, zerknęła w jego stronę.

- Hej, przystojniaku - rzuciła żartobliwie, a Jake'owi zabrakło słów. Świat nagle przestał istnieć. Zdawała

mu się w tej chwili taka daleka, nieosiągalna. Podeszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

- Pragnę cię - wykrztusił zdławionym głosem.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Może zostaniemy w domu? - szepnęła, odrywając usta od jego warg. Podniosła głowę i utkwiała w nim pytające spojrzenie.

Jake wciągnął głęboko powietrze.

- Nie. Mamy mnóstwo czasu. Cała noc przed nami. Tak rzadko wychodzimy gdzieś razem. Chcę, żebyś na zawsze zapamiętała ten wieczór.

- Zatem jedźmy, skoro chcesz, żebym na zawsze zapamiętała ten wieczór.

A potem wrócą i będą się kochać przez całą noc: co za upojna, podniecająca myśl.

- Jedźmy, jedźmy - poparł ją Jake. - Jeszcze chwila i w ogóle się stąd nie ruszymy.

- Wieczór należy do ciebie, kowboju. Pokaż mi, co przygotowałeś i przywieź wcześniej do domu.

- Jest tu jakaś restauracja? - zdziwiła się Maggie, kiedy skręcili w stronę lotniska w Stillwater.

- Żadnej. Wynająłem samolot. Musisz wreszcie przekroczyć granice Oklahomy.

- Poinformowałeś tatę i Patsy o swoich planach?

- Oczywiście.

Maggie uśmiechnęła się.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Nad ocean. Prawie. Polecimy do Houston, tam wynajmiemy samochód i pojedziemy na kolację do Galveston nad zatoką. Wrócimy najwcześniej o północy, ale zobaczysz morze. Pierwszy raz w życiu wyrwiesz się z Oklahomy.

Maggie zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dziękuję, Jake! To moja pierwsza wyprawa w świat. I to z tobą! Tak się cieszę! Szkoda tylko, że noc będzie przez to krótsza.

- Postaramy się wykorzystać czas najlepiej jak potrafimy - powiedział Jake z uśmiechem, ale Maggie posmutniała, czując, że niewiele im tego wspólnego czasu pozostało.

Wszystko było dla niej nowe. Kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania, wpatrywała się zachwycona w światła Houston.

- Cudowna podróż, Jake. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru.

- Mam nadzieję, Maggie.

Wynajętym samochodem dotarli do Galveston. Maggie, podniecona, oszołomiona, w drodze kręciła się i nie przestawała mówić.

- Wiem, że zachowuję się jak postrzelona, ale jest tak wspaniale.

- Cieszę się, że mogłem sprawić ci przyjemność.
Kiedy zobaczyła w oddali fale z białymi grzywami,
głęboko wciągnęła w płuca przesycone zapachem mo-
rza powietrze.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jestem, Jake.

Na parkingu przed restauracją Jake zapropono-
wał:

- Możemy zjeść kolację tutaj, bo zarezerwowałem
stolik, i potem przejść się po plaży albo wrócić do Hou-
ston, kupić coś na wynos i urządzić sobie kolację w sa-
molocie.

- Wracajmy do Houston - zdecydowała Maggie.

- Dobrze. Odwołam tylko rezerwację.

Jake wszedł na chwilę do restauracji, potem poszli
na plażę, trzymając się za ręce. Mrok, szum fal, bal-
samiczne powietrze, romantyczny nastrój, igrający
we włosach wiatr, wszystko wprawiało Maggie w eu-
forię.

- Tutaj jest cudownie. Po prostu cudownie - po-
wtarzała bez przerwy, nie mogąc nacieszyć się nie-
spodzianką.

Jake zaczął się śmiać.

- Przecież niewiele widzisz w mroku.

- Nieważne. Liczy się to, że tu jestem. Widzę poły-
skujący ocean, białe grzebienie fal.

- Jeśli chcesz, możemy zostać tu na noc i podzi-
wiać wschód słońca nad oceanem. To piękny widok.
Pierwszy promień słońca, różowiące się niebo. Przy-

plyw się wtedy cofa, zostawiając na plaży mnóstwo muszli.

Maggie pokręciła głową.

- Wystarczy mi wrażeń. Chcę wracać do domu i kochać się przez całą noc.

Jake przygarnął ją do siebie i pocałował.

- Dziękuję za ten wieczór.

- Nie dziękuj, tylko zdejmij pantofle i zanurz stopy w oceanie. - Nie czekając, usiadł na piasku, zdjął buty, podwinął nogawki dżinsów.

- To bezpieczne, wchodzić do wody po ciemku?

- Głuptasie - powiedział czule. - Przy brzegu jest płytko, a meduz nie musisz się bać. Chodź, będę cię pilnował.

Kiedy poczuła chłód wody, pomyślała o egzotycznych miejscach, dalekich podróżach, nieznanymi krajami; ocean otwierał drzwi na świat. Wsłuchiwała się w plusk fal, cieszyła każdą sekundą, chciała zachować w pamięci każdy, najdrobniejszy szczegół: odgłosy, zapachy, dotknięcie dłoni Jake'a, jego gorące pocałunki.

- Cudownie! - powtórzyła po raz setny. - Chciałabym nabrać wody do butelki i mieć ją zawsze blisko, w zasięgu wzroku.

Jake zaśmiał się.

- To tylko woda, Maggie.

- Bardzo szczególna woda. Widzę ją po raz pierwszy i jestem tu z tobą. Wystarczy?

- Ach, kobieto, co ty ze mną wyprawiasz... - Pocałował ją znowu.

Po spacerze plażą pojechali jeszcze na drugi koniec wyspy, by obejrzyć kutry rybackie. W Houston kupili steki i urządzili sobie kolację w samolocie. Do domu wrócili dobrze po północy. Ledwie zamknęli drzwi na klucz, Maggie objęła Jake'a.

- Było cudownie, ale przed nami najmiłsza część wieczoru - szepnęła. - Nie mogłam się doczekać.

- Ja też - powiedział, po czym wziął ją w ramiona i zaniósł na górę.

- Kocham cię - powiedziała Maggie, kiedy zmęczeni miłością leżeli w pościeli, dwa splecione w jedno ciała, połączone, zdawałoby się, na zawsze. Tak, kochała go i było jej wszystko jedno, co przyniesie jutrzejszy dzień.

- Najdroższa, mam wrażenie, że całe wieki minęły od chwili, kiedy trzymałem cię w ramionach po raz ostatni.

Maggie pogładziła go po policzku, spojrzała mu z czułością w oczy.

- Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór, nadzwyczajny, wyjątkowy pod każdym względem.

- Chcę, żeby był jeszcze bardziej wyjątkowy - szepnęła Jake, całując Maggie w czoło.

Podniósł się z łóżka, wziął ją w ramiona i zaniósł pod prysznic. Wykapali się, potem znowu się kochali,

a potem Jake podniósł z podłogi dzinsy i zanurzył dłoń w kieszeni.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział, walcząc z tremą.

Maggie usiadła w pościeli, ciekawa, co też jeszcze czeka ją tej nocy. Sądząc po poważnej minie Jake'a, musiało to być coś naprawdę niezwykłego wśród tych niezwykłości, które już jej zgotował.

- Podaj mi dłoń - poprosił i posłusznie wyciągnęła rękę.

- Co to takiego? - uśmiechnęła się niepewnie.

- Kocham cię, Maggie - szepnął Jake i w jego otwartej dłoni zajarzył się brylant. - Wyjdiesz za mnie? - zapytał, wsuwając jej pierścienek na palec.

Podniosła wzrok na Jake'a.

- Chcesz, żebym za ciebie wyszła? - Miała wrażenie, że się przesłyszała. Nie, skądże! Nie przesłyszała się. Jake prosi ją o rękę. Zalała ją fala najczystszej, nieopisanej radości.

- Och, Jake! - Zarzuciła mu ręce na szyję. Dopiero pod długiej chwili zdołała się opanować.

Podciągnęła kołdrę, usiadła wyprostowana, spojrziała jeszcze raz na pierścienek, na Jake'a. Minęło pierwsze oszłomienie, pierwszy zachwyty, wróciło poczucie rzeczywistości, przemówił rozsądek i serce ściał jej łód.

- Musimy porozmawiać, zanim odpowiem - powiedziała zdławionym głosem.

- Też tak uważam - odparł Jake i już wiedziała, że on nie zamierza porzucić swojego wędrownego życia.

- Muszę myśleć o tacie, o Katy, o ranczu. Tu nie chodzi tylko o mnie.

- Wiem.

Znowu spojrzała na pierścionek. Brylant jaśniał, ale jego blask nie mógł rozproszyć mrocznych cieni, zbierających się w pokoju.

- Jeśli się pobierzemy, zamieszkasz tutaj?

Jake westchnął ciężko i pokręcił głową.

- Nie mogę ci tego obiecać, Maggie.

- Jak więc możesz mnie prosić, żebyśmy wyszła za ciebie? Chcesz wozić mnie i Katy po całym kraju na swoim harleyu? Ona idzie w przyszłym miesiącu do przedszkola, w przyszłym roku zacznie szkołę. - Maggie czuła, że coś w niej pęka i całe ciało paraliżuje tępy ból.

- Dobrze mi ~L wami, jestem tu szczęśliwy, ale nie mogę obiecać, że któregoś dnia nie zatęsknię za podróżą. Nie mogę ci dać gwarancji, że zapuszczę korzenie jak ty. Dzieci zmieniają szkoły, uczą się to tu, to tam, a ja nie wiem, czy potrafiłbym zostać tu z tobą zawsze. Po prostu nie wiem...

- Wiesz doskonale, że nie mogę zostawić taty.

- Wiem i nie proszę, żebyś się pakowała i natychmiast ruszała ze mną w świat. Stawiam sprawę uczciwie, kiedy ci mówię, że niczego nie jestem w stanie obiecać.

- Tata nie jest w najlepszej kondycji, ale nie jest też inwalidą. Może żyć jeszcze bardzo długo i za pięć lat wcale nie będzie łatwiej mi go zostawić niż teraz, może nawet trudniej. Katy wrośnie w swoje środowisko, będzie miała przyjaciół w szkole. Dlaczego nie możesz tu zostać, jeśli nas kochasz?

Jake poruszył się niespokojnie.

- Przyjdzie taki moment, że znowu zateęsknię za szerokim światem. Wiem o tym. Ciągłe coś gna mnie przed siebie, nigdzie nie mogę zagrać miejsca...

- Boisz się miłości - powiedziała Maggie cicho. - Kiedy zaczniesz się angażować, kiedy zaczyna ci naprawdę na kimś zależeć, uciekasz.

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że cię kocham i że chcę dzielić z tobą życie, tylko jak, skoro tak różnie je sobie wyobrażamy?

No właśnie. Trafił w sedno. Maggie wiedziała, że ich związek nie może się udać. Palące łzy napłynęły jej do oczu.

- Niech to szlag! - zaklął Jake, wściekły, że doprowadził Maggie do płaczu. - Nie chcę cię skrzywdzić, ale nie każ mi składać obietnic, których nie będę w stanie dotrzymać. - Przyciągnął ją do siebie i razem opadli na poduszki. - Tak bardzo cię kocham - szepnął.

Nie dość, żeby ze mną zostać, pomyślała ze smutkiem. Kochasz mnie, ja cię kocham, a jednak nie możemy być razem. Czowała, że go traci, że miłość nie uratuje ich przed rozłąką.

Usnęli dopiero o świcie, wtuleni w siebie. Kiedy otworzyła oczy, Jake'a już przy niej nie było. Wzięła szybki prysznic, ubrała się. Znalazła go w kuchni, zdążył już przygotować śniadanie.

Usiedli do stołu, rozmawiali, ale rozmowa co chwilę się urywała. Obydwoje byli przygnębieni świadomością przegranej; umykało im to, co najważniejsze i najpiękniejsze, a oni mogli tylko patrzeć, jak rozwiewają się ich nadzieje, jak obracają się wniwecz najpiękniejsze marzenia.

Kiedy skończyli jeść, Maggie zdjęła z palca pierścionek i podała Jake'owi. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

- Nie mogę go przyjąć - powiedziała zdławionym głosem. - Moje miejsce jest tutaj, w tym domu, przy rodzinie.

- Nie chcę cię pozbawiać ani rodziny, ani domu. W każdej chwili będziemy tu mogli wrócić.

Pokręciła głową.

- Nie mogę tego zrobić tacie. Nie wymagaj, żebym go zostawiła samego.

- Od początku wiedziałem, co powiesz, ale kocham cię tak bardzo, że musiałem zapytać. Nie mogłem dłużej żyć w niepewności.

Maggie zamknęła oczy, na próżno walcząc ze łzami. Nie chciała znowu beczeć w jego obecności. Podniosła się zza stołu, Jake też się poderwał, chciał ją objąć, ale cofnęła się gwałtownie.

- Czy pomyślałeś, że miłość może cię zmienić i już nie będziesz chciał wędrować po świecie?

- Nie wiem. Nie mogę obiecać, że się zmienię.

- Ja też nie mogę nic ci obiecywać - szepnęła, odwróciła się gwałtownie i wybiegła z kuchni.

Koniec. Koniec romantycznego weekendu, koniec rojeń, które nigdy nie miały stać się rzeczywistością. Usłyszała łoskot zamykanych drzwi; Jake wyszedł z domu.

Dotknęła palca, na którym jeszcze przed chwilą tkwił pierścionek Jake'a.

- Kocham cię i zawsze będę kochała, cokolwiek uczynisz i cokolwiek postanowisz - szepnęła.

Tak, tragedia polegała nie tym, że nie potrafiła przestać go kochać.

Dwie godziny później pojechała do kościoła. Jake patrzył za znikającym pikapem i klął pod nosem. Pierścionek schował na powrót do szuflady szafki nocnej. Nie chciał myśleć o przyszłości. Dotąd żył z dnia na dzień, bez planu, nie zastanawiał się, jak ma wyglądać jego egzystencja, co będzie za rok, za dwa lata. Teraz wiedział jedno: nie wyobrażał sobie świata, w którym miałoby zabraknąć Maggie, a przecież tak właśnie się stanie.

Minął tydzień. Któregoś dnia, zszedłszy rano do kuchni, Maggie zastała tam Jake'a nad kubkiem kawy. Na jej widok wstał od stołu.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział cicho.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jake podszedł do Maggie, zatrzymał się o krok od niej, położył jej dłonie na ramionach.

- Kocham cię, Maggie. Kocham Katy i Bena, kocham ten dom, ale przeżywam piekło, bo widzę cię codziennie, pragnę cię wziąć w ramiona, czuć cię blisko. .. Dłużej tego nie znoję.

- Och, Jake... - tyle tylko zdołała powiedzieć. Skoro kochał ich wszystkich, rozwiązanie zdawało się proste.

- Kiedy byłem mały, rodzice przenosili się z miejsca na miejsce, potem, dorastając, żyłem jak włóczęga. Wyjeżdżam. Tak będzie lepiej dla nas obojga - powiedział.

Maggie zamknęła oczy. Nic już nie słyszała, o niczym nie mogła myśleć i nie czuła nic poza bólem.

- Jeśli mnie kochasz, jeśli kochasz moją rodzinę, dlaczego nie zostaniesz? - zadała ponownie to samo pytanie, które padło w ich ostatniej, decydującej rozmowie.

- Tak bardzo cierpię, Maggie. Każdy dzień jest torturą. Chcę, żebyś została moją żoną.

- Wiesz przecież, że nie mogę wyjść za ciebie. Tłu-

maczyłam ci dlaczego. - Cofnęła się o krok. - Jedź zatem, Jake. Uciekasz. Ścigają cię wyrzuty sumienia. Nie możesz sobie wybaczyć, że nie było cię przy twoich najbliższych, kiedy zginęli. To absurd. Nie ponosisz najmniejszej winy za ich śmierć. Nie mogłeś zapobiec tragedii.

- Nie uciekam! - zachnął się rozsierdzony. - Mogłem zapobiec tragedii, mogłem ich uratować, gdybym. ..

Nie dała mu dokończyć. Obsesja, od której nie potrafił się uwolnić mimo upływu lat, choć godna współczucia, stawała się irytująca.

- Życie pełne jest „ale” i „gdyby”. Po prostu nie było cię tego wieczoru z nimi. Sprawił to okrutny los, a z losem nie sposób dyskutować, nie sposób pojąć jego wyroków. Musisz się z tym pogodzić, a ty tymczasem uciekasz. Masz zamiar tak uciekać do końca swoich dni?

- Nie zrozumiesz tego.

- Powiedziałam, jedź. Skoro nie potrafisz inaczej, skoro nie stać cię na pokorę wobec własnego życia, wsiadaj na motocykl - mówiła porywczo, z pasją.

Był wspaniałym człowiekiem, najwspanialszym, jakiego kiedykolwiek spotkała, i skazywał się na trudną samotność, wymierzał sobie karę za urojone winy. Co gorsza, nie zdawał sobie sprawy, że zadaje cierpienie nie tylko sobie, ale i jej. Wpadł w błędne koło samooskarżeń, z którego nie znajdował drogi wyjścia.

- Chciałbym się pożegnać z Benem i Katy.

- Ja pożegnana się z tobą teraz. Przestań wreszcie się katować, człowieku, zrzuć ciężar, który cię przygniata i który nie wiadomo w imię czego dźwigasz. Zaczynj wreszcie żyć, zamiast chować się w skorupie.

- Nie masz racji, Maggie.

- Żegnaj, Jake - powiedziała, wychodząc z kuchni. Z wieszaka w holu zerwała kurtkę i ruszyła w kierunku pikapa.

Ben zajmie się Katy, a Jake nie wyjedzie, dopóki tamci się nie obudzą. Mogła na moment zapomnieć o swoich obowiązkach. Jechała przed siebie i zastanawiała się, czy ból kiedykolwiek minie.

Kiedy wróciła po kilku godzinach, na ganku przywitał ją Ben.

- Jake wyjechał.

- Poprosił mnie o rękę, ale nie mógł obiecać, że zostanie na ranchu. Ja stąd nie wyjadę. Nie chodzi o ciebie, tato. Nie mogę skazywać Katy na życie w podróży.

- Tak mi przykro, Maggie. Nie powinienem był proponować mu pracy u nas.

- Wręcz przeciwnie. Może zabrzmiało to dziwnie, ale jestem szczęśliwa, że mieszkał z nami. Kocham go, ale nie potrafię funkcjonować tak jak on. - Objęła ojca, chciała mu w ten sposób podziękować za słowa pociechy. Chyba nigdy jeszcze nie było jej tak ciężko jak teraz.

- Jakoś sobie poradzę... - westchnęła. - A jak Katy przyjęła wiadomość o jego wyjeździe?

- Beczy. Pokochała go, traktowała niemal jak ojca, ale zobaczysz, szybko dojdzie do siebie. Obiecałem jej, że po południu pojedziemy do miasta na najnowszy film Disneya.

- Jesteś cudowny, tato. - Maggie uśmiechnęła się do ojca. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- I nawzajem. Nie zniósłbym myśli, że odmówiłaś Jake'owi przeze mnie, ale rozumiem, że chodziło ci o dobro Katy. Kto wie, może on wróci, córeczko.

Maggie pokręciła głową.

- Nie wróci. Zawsze tak żył. Ma trzydzieści pięć lat, ludzie w tym wieku nie zmieniają się tak łatwo. Dojdę do siebie, nie martw się - próbowała pocieszyć strapionego ojca.

Ben wbrew temu, co powiedział, miał wyrzuty sumienia, że jego osoba zaważyła jednak w jakiś sposób na decyzji Maggie.

Musiła jeszcze pocieszyć córkę, choć najchętniej położyłaby się obok niej i rozplakała w głoś. Tej nocy nie zmrużyła oka, leżała w ciemnościach i myślała o Jake'u.

Jake tymczasem siedział w mrocznym pokoju w motelu w Kansas. Nie wiedział nawet, kiedy przekroczył granicę stanu. Było mu wszystko jedno, dokąd jedzie. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo wielu lat kupił sobie

sześć puszek piwa. Chyba nie skończył jeszcze czterna-
stego roku życia, kiedy po raz ostatni miał w ustach
alkohol. Teraz wypił dwie i miał dość, pozostałe wyrzu-
cił do kosza. Usiadł przy oknie i zapatrzył się w pusty
o tej porze basen. Patrzył tak na błękitną wodę, ale
zamiast niej widział przepelnione miłością błękitne
oczy Maggie.

Czy rzeczywiście, tak jak mówiła, uciekał przed wy-
rzutami sumienia, którymi niepotrzebnie się obciążał?
Czy nie powinien wreszcie zostawić przeszłości za so-
bą, nie wracać do wspomnień, nie rozpamiętywać bez
końca tamtej tragedii? Dotąd obwinał się, że owej fa-
talnej nocy zostawił rodziców i braci. Nie potrafił się
z tym uporać i teraz, tylko dlatego, że nosił w sobie
urojone poczucie winy, znowu miał stracić tych, którzy
mogli stać się jego rodziną.

- Maggie... - szepnął. - Kocham cię. Pragnę.
Podniósł się z fotela, włożył portfel do kieszeni, spoj-
rzył w lustro.

- Kim ty jesteś, człowieku? - zwrócił się do swojego
odbicia w lustrze.

Wziął kluczyki i wyszedł z pokoju. Rachunek uregu-
lował już wcześniej. Wskoczył na motocykl i zapalił
silnik. Ryk maszyny poniósł się echem po całym terenie
motelu, ale Jake'owi było to obojętne. Wyjechał na
autostradę i skierował się na południe.

Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy Maggie usły-

szala warkot podjeżdżającego pod dom harleya. Wszędzie rozpoznałaby jego charakterystyczny ryk. Wyskoczyła z łóżka i z bijącym sercem zbiegła na podwórze.

Na widok Jake'a omal nie zemdląła ze szczęścia. Czyżby śniła? Chwyił ją w ramiona, okręcił dookoła i pocałował z takim żarem, że nie mógłby być to sen. Ujęła jego twarz w dłonie.

- Co tu robisz?

- Miałaś rację. Do diabła z przeszłością! Nie mógłbym żyć bez ciebie, Maggie. Jesteś moja, moja na zawsze, najdroższa. Wyjdź za mnie. Zamieszkam z wami. Minie kilka lat i nie będziesz mogła wyciągnąć mnie poza granice rancza. Zostaniesz moją żoną?

- Tak, Jake, och, tak! Kocham cię! - odpowiedziała Maggie, śmiejąc się i płacząc na przemian.

RS

EPILOG

Jake zbliżył się ostrożnie do szpitalnego łóżka. Godzinę wcześniej, o poranku, ponad rok po ślubie rodziców, pojawił się na świecie duży, zdrowy chłopiec. Jake przeżywał chwilę jego narodzin razem z Maggie, był cały czas przy niej. Teraz dołączyła do nich Katy: stała obok matki i wpatrywała się z zachwytem w noworodka.

Jake wziął ją na kolana i spojrzał czule na Maggie: nigdy chyba nie wyglądała piękniej niż w tej chwili. Jego żona, córka, syn... Poczul ucisk w gardle, łzy napłynęły mu do oczu.

- Dałaś mi rodzinę, kochanie. Prawdziwy dom i wspaniałe dzieci. Kocham was wszystkich, nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo.

- Życie jest cudowne, Jake. - Maggie jedną ręką objęła męża za szyję, drugą przytuliła do piersi śpiącego Matta, który dostał imię po najmłodszym bracie Jake'a. - Jestem najszcześniejsza na świecie.

- Najszcześniejszym człowiekiem na świecie jestem ja - roześmiał się Jake.

Maggie zamknęła oczy. Wiedziała, że bezustanne wędrówki Jake'a po świecie należą już do przeszłości i że ten niespokojny duch wreszcie znalazł spokój i zostanie z nią. Bo tworzą kochającą się rodzinę.

RS